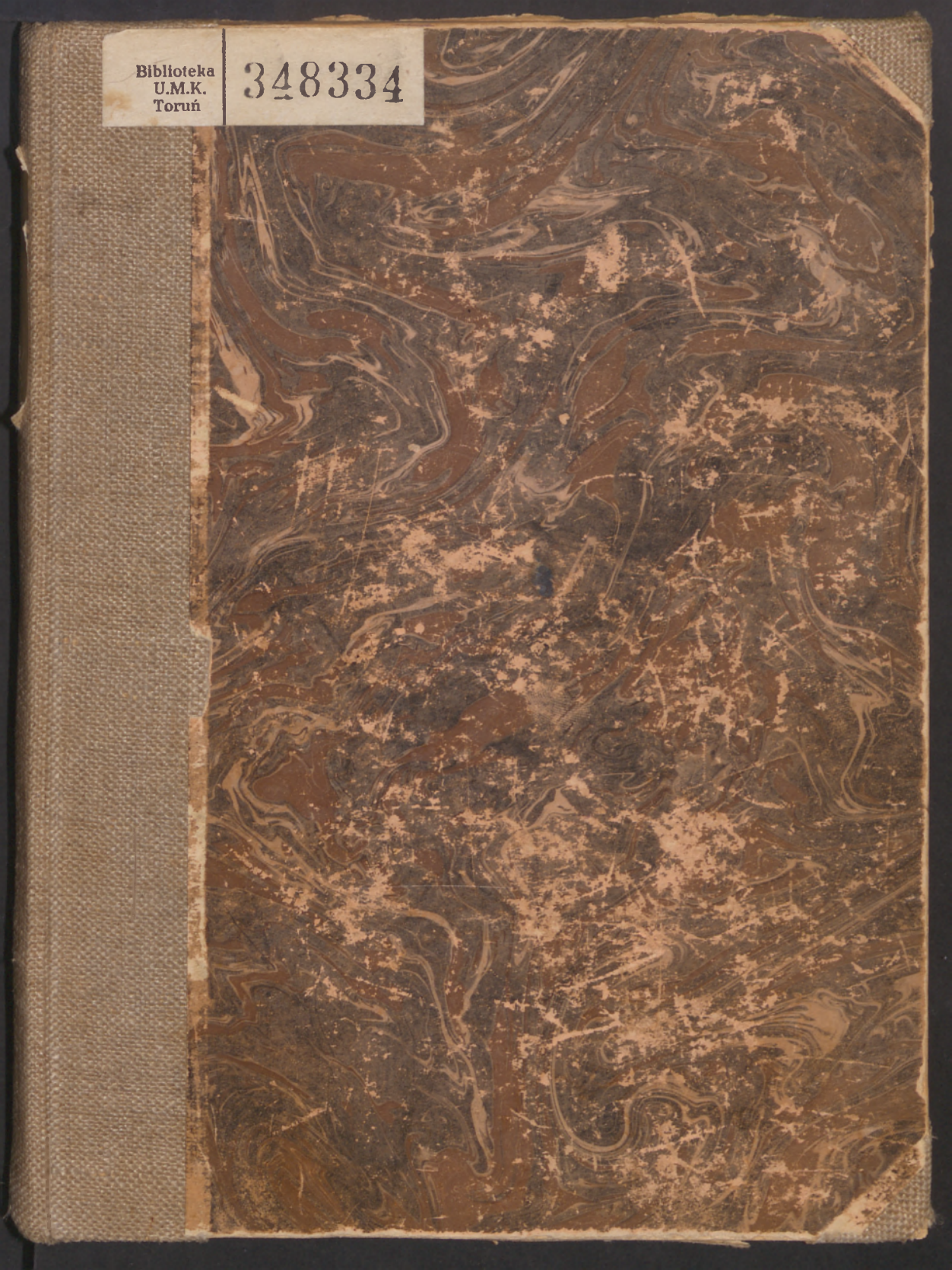
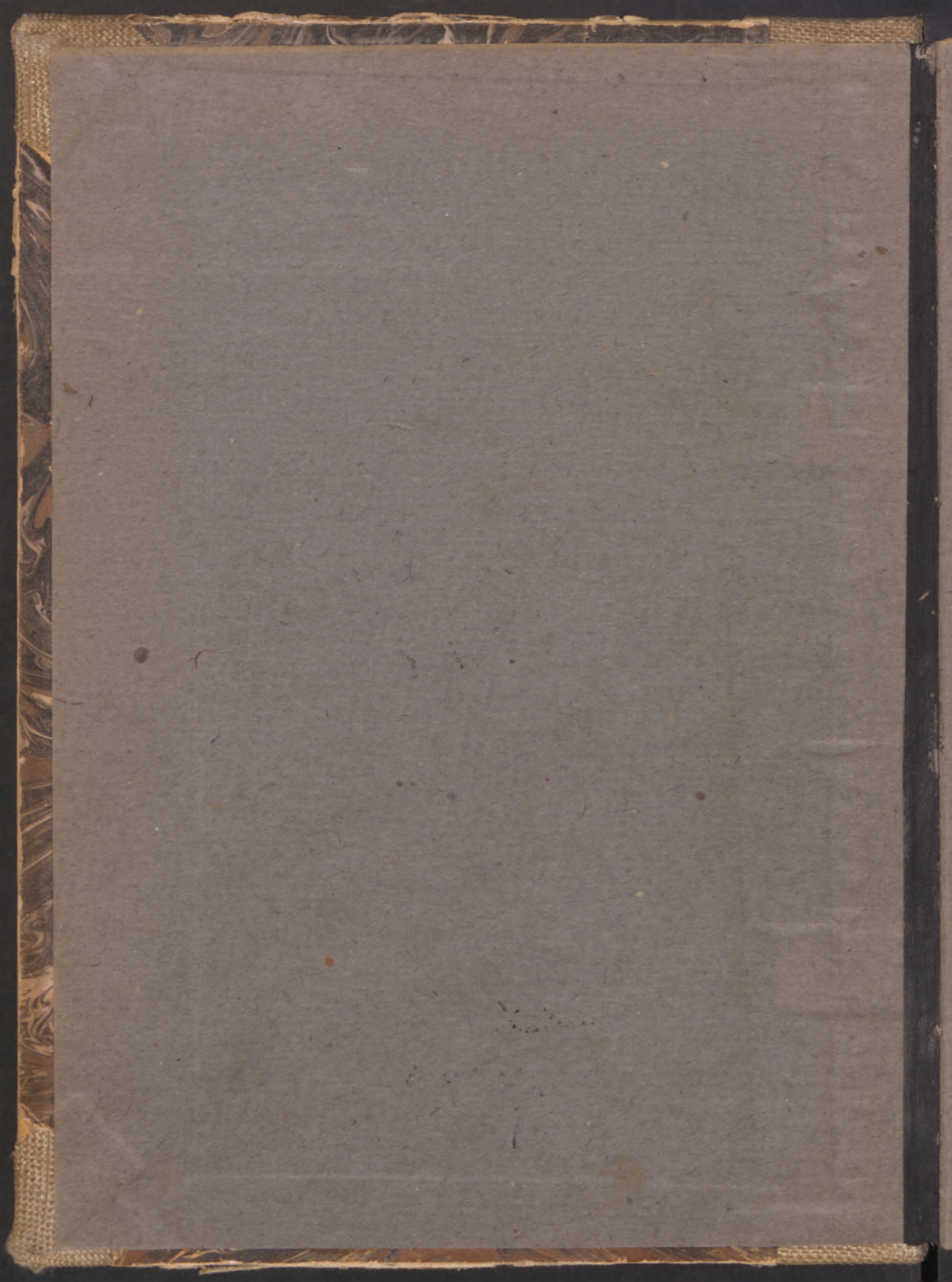


Biblioteka
U.M.K.
Toruń

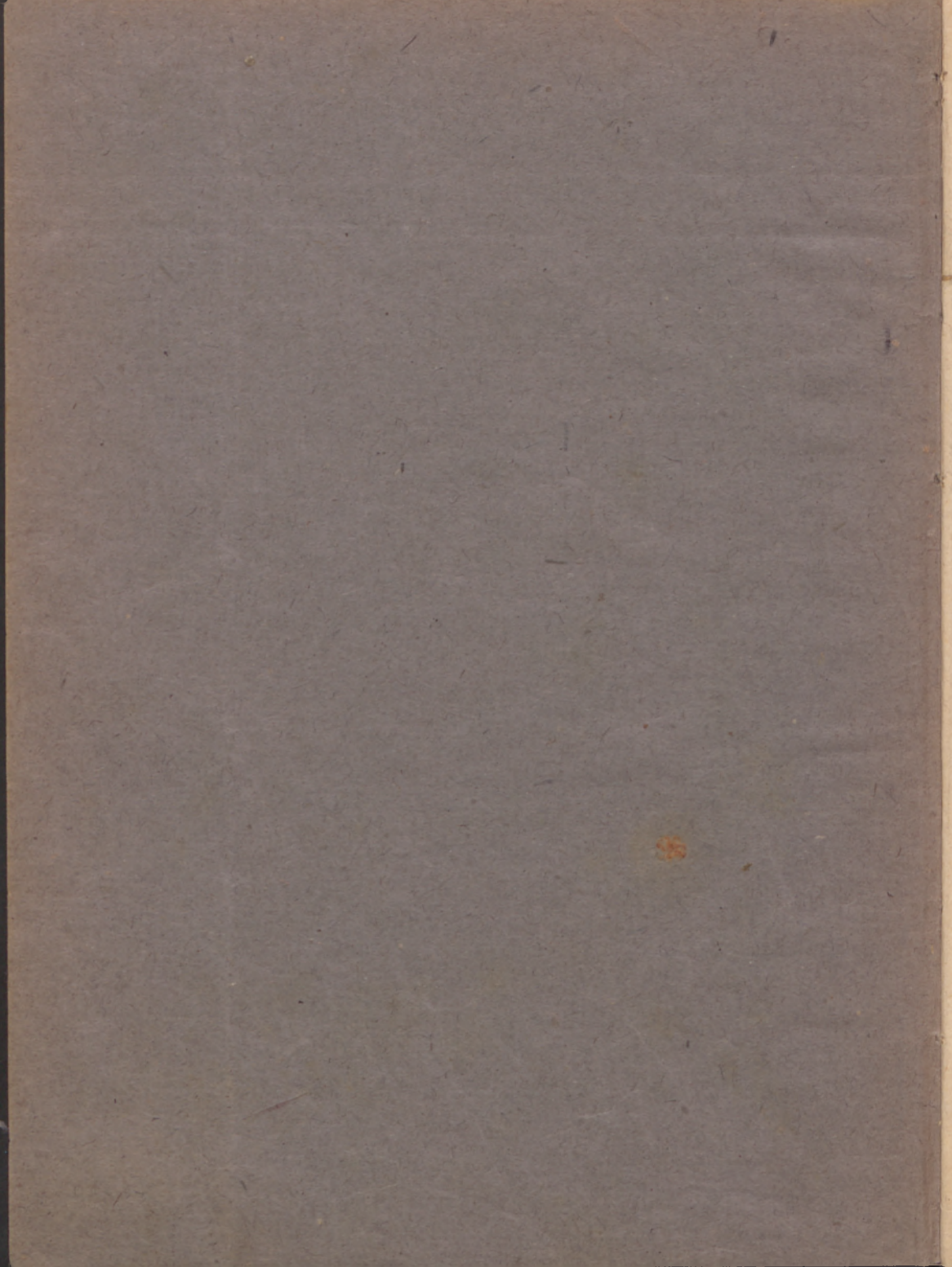
348334

The book cover features a complex marbled pattern with swirling veins of brown, tan, and grey. The spine, visible on the left, is bound in a textured, light-colored fabric. A small white label is affixed to the top left corner of the cover.



5159

8



5759

74

KAROL IDZYKOWSKI



Z DOD
CIEMNEJ GWIAZDY

vol. n. 300

Pr. 20/5.9m



5159

Z POD
CIEMNEJ GWIAZDY

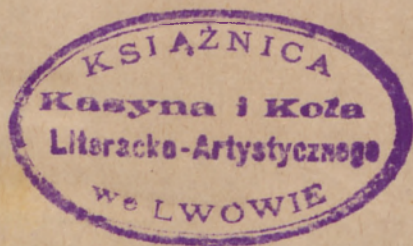


12.

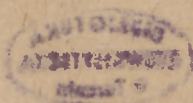
KAROL IRZYKOWSKI

Z POD
CIEMNEJ GWIAZDY

NOWELE



5159



NAKLAD KSIĘGARNI POLSKIEJ

ŁÓDŹ — 1922

Wszystkie prawa autorskie zastrzeżone
Copyright by Karol Irzykowski Kraków, 1922

Okładkę rysował Canis de Canis

K. Irzykowski
37



Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi

K 1275/63

Wielki jeździec

Długa, długa była noc i sny w niej okropne. Zbudził się wreszcie z radosnym okrzykiem. Ale ręce jego były jeszcze skrępowane, a ciało nagie. Spojrzał naokoło.

Pod palmą siedział szejka, pan jego, fajkę paląc, i gładził ręką złote włosy swojej córki, która mu Księżę Świętą czytała.

— Zulimo — mówił — zapominam o myślach mędrca-poety, patrząc na ciebie, ale wierzę prawie, że mi je twój widok znowu powraca.

Opodał pasły się konie szejka, a w powietrzu krążył orzeł.

Człowiek, leżący na ziemi, usiłował powstać, lecz uczuł powróż na szyi. Był przywiązany do pnia jednej z palm, która nań cień rzucała.

Usłyszał szmer strumyka. Odwrócił głowę i ujrzał go tuż przy sobie. Chciał weń ręce włożyć, ale ręce były skrępowane. Chciał głowę zgiąć i napić się wody, wtem go coś szarpnęło. Szyderczy śmiech szejka obił mu się o uszy, a Zulima rzuciła nań kamieniem.

Raptem przypomniał coś sobie. Chwycił powróż w zęby i rozerwał go, naprężył mięśnie i pękły sznury na rękach.

Zdziwiony szejk zawołał na niego surowo. On tedy powstał i wyprostował się, nagi, groźny i silny. Pięści zacisnął, były jeszcze owinięte sznurami, których poszarpane końce zwisały.

Widząc to, szejk rzucił się na niewolnika. Obaj upadli na ziemię, szamotając się z sobą. Córka pobiegła do jednego z koni, aby wydostać skryty w drogocennej oprawie siodła jatagan. Prędzej jednak niż błyskawica, pokonał niewolnik szejka, zarzucił mu swój powróż na szyi i dusił go.

Gdy jeszcze szejk charczał konając, chciała Zulima cicho jak wąż zbliżywszy się, ugodzić w plecy zwycięzcę. Ale sztylet, słabą ręką skierowany, zwinął się po twardej skórze niewolnika, czerwoną smugę krwi za sobą ciągnąc, napadnięty zaś chwycił rękę Zulimy i ścisnął tak gwałtownie, że broń brzęcząc na ziemię upadła.

Tak stał, jej podniesioną rękę w swojej dłoni trzymając. I spostrzegł jej włosy złote, bujne, a nie mogąc pojąć, dlaczego to tak świeci, chciał bliżej zobaczyć. Zapytać o coś chciał, ale Zulima odwróciła głowę ze wstrętem, a po chwili napluła mu w oczy.

Niewolnik otarł ślinę jej włosami, a naciskając dłonią, zgiął jej ciało, póki nie upadła głową na pierś ojca. Rzucił się na nią, by ją również udusić, objął ją ramionami, tłocząc całym ciałem. Pierś jej falowała, nie mogąc chwycić tchu pod przygniatającym ciężarem, oczy zawróciły się aż po białka w śmiertelnej trwodze. Naraz uczył morderca, jak z ciała dziewczicy przechodzi w niego całego jakaś rozkosz i słodycz. Wydając z siebie krzyk bezdźwięczny a przeciągły, oplatał dotykające go ciało, gwałtownie je miażdżąc, jakby je chciał w sobie pogrążyć, a sam drżał z upojenia. Głowa Zulimy opadła martwa, lecz morderca jej nie wiedział, że to śmierć. Zamknął oczy,

jego uścisk wolniał, ustępując miejsca chwilowemu oszołomieniu.

W tem załopotalo coś nad nim skrzydłami. Był to orzeł. Kilka sępów siedziało zdala, bojąc się jeszcze przystąpić. Morderca zerwał się i spojrział znowu naokoło. Zobaczył strumyk i nachylił się nad nim. Jakiś człowiek był tam na spodzie. Nachylił się tedy zupełnie, a gdy ustami dotknął wody, miły chłód musnął mu wargi. Zaczął pić chciwie wodę i pił długo.

Kiedy się podniósł, ujrzał jakiegoś konia. Koń także pił wodę, a potem rżał radośnie. Był objuczony; więc człowiek zdjął z niego juki i patrzył, co zawierają. W jednej sakwie znalazł trochę chleba i ryżu, któremi głód zaspokoił, w drugiej złote i srebrne monety, które uważał za kamyczki. Postanowił wziąć je z sobą i już chciał juki przyczepić do siodła, gdy wtem trącił stopami o trupa Zulimy. Ujrzał znowu te dziwne, złote włosy, które tak błyszcząły, i podjawszy z ziemi jatagan, jednym cięciem oddzielił głowę od kadłuba i wrzucił ją do próżnej sakwy. Wtem kadłub zsunął się z piersi szejka, więc wyzwolony, zgrzytając zębami, ułożył go znowu na dawne miejsce i wbijając jatagan w piersi obu trupów, spoił je na zawsze razem. Naokoło była kałuża krwi. Wyzwolony maczał w niej ręce i rozmazywał krew po całym swoim ciele. Cieszyła go ta czerwoność. Podjął księgę, usiadł i przewracał karty, nie zważając na to, że na każdej zostawia krwawy ślad. Wnet jednak odrzucił przecz książkę, bo nie wiedział, co to jest, wsiadł na konia, zdjawszy zeń siodło, którego przeznaczenia nie rozumiał i puścił się galopem, nie oglądając się za miejscem, gdzie orły i sępy ścierwem się dzieliły.

Długo tak jechał, aż przybył na jakąś rozległą równinę. Tu dał spocząć koniowi i sam zrywał dla niego

liście palmowe. Wtem usłyszał tętent kopyt końskich. Nadjechał jakiś jeździec, pochylony nad koniem, i nie patrząc na niego, galopował dalej. Wkrótce nadjechał nowy jeździec, za nim trzeci, czwarty, piąty i wnet znikli mu z oczu.

Ciekaw, kim są ci jeźdźcy, siadł na koń i popędził za nimi. Po drodze jednak spotkał kilku z nich wracających z okrzykami najwyższej trwogi i rozpacz. Pomimo tego jechał dalej, nikogo już nie spotykając, aż przyjechał nad brzeg jakiejś ogromnej przepaści. Koń jego wzdrygnął się i stanął dębem.

Na spodzie przepaści, który zaledwie dojrzeć można było, czerniały trupy końskie i ludzkie. Konie wbite na iglice skał, turbany wszędzie porzucane, na ścianach przepaści aż biało od rozbryzanych mózgów ludzkich.

Człowiek patrzący wgląd zadrżał i chciał się cofnąć. Wtem daleko, na przeciwnym brzegu, ujrzął coś cudownego. Był to kwiat tylko, ale podobny do gwiazdy, dumny swą niedostępnością.

Człowiek wzniósł dziki okrzyk, nabrał rozpędu, dał znak koniowi, a ten odgadując myśl swego pana, leciał jak wiatr i nie zatrzymując się, zarżał i skoczył na drugą stronę.

Tu zerwał człowiek ów kwiat dziwny i jechał dalej.

Słońce już zeszło z południa i palmy rzucały długi, zapraszający cień na trawniki. Dał tedy koniowi spoczynek, a sam posilał się daktylami, które wiatr obficie strząsał. Szukając ich jednak, zobaczył jakiegoś człowieka, który stał pod palmami. Był to starzec z długą, siwą brodą, on to, a nie wiatr, strząsał daktyle z drzew.

Człowiek schwytał starca, a widząc, że jest słaby i wynędzniały, podał mu garść daktyli. Ale starzec uśmiechnął się i rzekł:

— Nie, tego nie wezmę. Ale daj mi ten kwiat gwiazdzisty, który masz w ręku.

Człowiek spojrzał zdziwiony. Ale starzec ukląkł i wołał błagalnie:

— Daj mi ten kwiat, daj mi ten kwiat. Jestem nieśmiertelnym, życie jest mi ciężarem. To jest kwiat mojej śmierci. Daj mi go i pozwól mi umrzeć za ciebie.

Na pół dobrowolnie, na pół przymuszony oddał człowiek kwiat, który w ręku starca dziwne kształty przybierał, wydłużał się, rósł, wystrzelił w mnóstwo łodyg, a te jak węże wyprężając się, owijały ciało starca, na każdej łodydze zakwitał nowy kwiat, który otwartym kielichem bił raz po raz o jego ciało, roztaczając wylizew zatruty. Po kilku chwilach skonał starzec z uśmiechem na ustach, ostatnim ruchem ręki wskazując jeźdźcowi na zachód.

Jeździec poszedł w tym kierunku i napotkał na grób, oddawna już przygotowany. Tu złożył ciało i zgarznął na nie rękami ziemię, wysypaną na brzegach grobu. Uczyniwszy to, powstał natychmiast z niecierpliwością, której nie pojmował.

I jego koń grzebał nogą niecierpliwie, kładąc głowę na ramieniu pana.

Nagi jeździec wskoczył na rumaka i pognął z wiatrem w zawody. Oddalając się od grobu, czuł, że rośnie i że w ciało napływa mu moc nieprzeparta. Tak chciał pędzić, choćby na koniec świata. Było w nim coś ze strumienia górskiego, który na łeb ku wodospadowi leci, zębami drogę sobie wygryza, a nie cofa się nigdy. Myśl u niego była siłą, a siła była myślą. Czuł, że może, co zechce. A koń pod nim był jakby częścią jego, byli obaj prawie jednym ciałem, jedną wolą, jedną myślą i jedną siłą.

Wjechał w las jakiś, gdzie były dzikie zwierzęta. Lwy, tygrysy wypadły z gąszczów, chcąc rozszarpać tego, co się wdarł w ich państwo. Ale zobaczywszy go — drżąc i skomląc uciekają daleko.

Przybył znowu na jakąś równinę, gdzie dwa wojska ze sobą walczyły. Jeden z rycerzy zamierzył się nań mieczem, ale jeździec skoczył na rycerza swoim koniem i roztratował go na ścierwo. Zabitemu wyrwał miecz z dłoni i rąbiąc naokoło, wydobył się z zamętu bitwy. Drugie wojsko przywitało go okrzykami radości, a jeden z wojowników podał mu wieniec z liści dębowych, lecz jeździec spojrzął na niego osłupiałym wzrokiem i dalej popędził.

Na polu spotkał pasterzy, którzy rozpalili ognisko i opowiadali sobie powiastki. Zdziwił się jeździec, płomień ujrawszy. Odpędził pasterzy i chwycił głównię palącą się i jechał dalej, wywijając nią naokoło, ciesząc się buchającym płomieniem i obłokami dymu, w których iskry jak gwiazdy powłóczyłym welonem za nim się ciągnęły, mieszając się z iskrami, które jego rumak z pod kopyt, uderzając o krzemienie, ciskał.

Wtem ujrzał wielkie miasto przed sobą, rzesza ludzi wyszła naprzeciw niego z muzyką i tańcami, wołając: Cześć zwycięzcy! cześć oswobodzicielowi!... Wjechał przez otwartą bramę, a rzesza ludu szła za nim. Widział wielkie budynki, pałace, ogrody, i przepych ten olśniewał go i gniewał. Pałącą głównię rzucił na jeden z domów, a wicher, jakby jego sprzymierzeniec, poniósł ogień dalej i wkrótce całe miasto stanęło w płomieniach. Chaos, wrzawa i zniszczenie. Ludzie ratowali swój majątek z płonących domów. Jakaś matka wyciągała ręce za dziećciem. On widząc to, wskoczył tam, gdzie niebezpieczeństwo było największe, i chociaż płomieniste języki

węgliły mu ciało, wyniósł na rękach śpiące, ciche niemowlę i oddał je matce. Innym pomagał sprzęty ratować, a potem jakiegoś chorego starca porwał na barki i wyniósł za miasto w bezpieczne miejsce.

Zgłiszcza tylko dymiły. Na łące ludzie biegali między sprzętami, płacząc i lamentując. Jeździec stał zdziwiony, ani jedna łza nie spłynęła mu po twarzy. Wielu z ludzi otaczających go liczyło pieniądze uratowane, a gdy brakowało, włosy sobie wrywali. Wtedy przypomniał coś sobie, pobiegł do swego konia, zdjął jedną sakwę i zaczął pełnemi garściami rozrzucać złote i srebrne monety. Ludzie cisnęli się zewsząd, depcząc się wzajemnie, popychając, bijąc i wydzierając. On nie pojmował ich chciwości, a widząc, że wiele monet potoczyło się w trawę, sam je podnosił i szukającym podawał.

Siadł znowu na koń i jechał stępo. Minąwszy wrzawę ludzi ujrzał zgraję psów, użerających się nad ścierwem jakiegoś człowieka. I zdjęła go znowu litość, wydobył z sakwy głowę Zulimy, rzucił ją psom i jechał dalej, nie oglądając się.

Jechał wolno i smutek go ogarniał. Naraz podniósł głowę i powiódł wzrokiem po niebie.

W długiej, ciemnej nocy latami pogrążony, nie widział nigdy słońca i nie wiedział, co to jest, ta kula złocista, która się ku zachodowi toczyła, zapadając poza horyzont, okolona wielkimi promieniami. I na równinę siał się blask łagodny, od słońca ku niemu, migotając po wszystkich kwiatach i ziołach. Nic takiego jeszcze w życiu nie widział, zapomniał tedy o wszystkim. Ten zachód przedstawiał mu się bramą ogromną, wiodącą do niezmiernych obszarów światła i blasku. Tam, tam był jego cel, on musiał tą bramą przejechać, musiał wstąpić w słońce!

Wyciągnął ręce i wołał, wołał z pełnej piersi. Wołał głośniejsz niż szum rzek, przez które przesadzał, niż głos dzwonoów w miastach, które mijał, niż ryk burz, które nad nim przelatywały. A koń pod nim rwał się, ledwie ziemi dotykając i pędził ku słońcu!

Olbrzymie ich cienie niepokoiły ziemię, pola i lasy, a ludzie, patrząc na nich, przystawali i mówili:

— Co to za jeździec zuchwały i co to pod nim za zwierzę? Dokąd szaleje? dokąd pędzi? Do nieba, czy do piekła? Oko jego wpatrzone wciąż w jeden punkt, a na ziemi niema nic, coby go wstrzymało!

Naraz przed jeźdzcem ukazała się masa wód niezmiernych, której topiel potworną bezsilnie przeświewało gasnące słońce.

— Gdzie jedzie? — mówił jeden rumak do drugiego — toż tam ocean bezkresny! Jeździec i rumak utoną!..

Ale on pędził ku bramie na krańcu nieba i ziemi.

W chwili, gdy słońce ostatni swój promień w wody zanurzyło, on nad brzegiem już był, potężny jak wielka czarna rzeka, wlewająca się do wnętrza mórz, i spiął konia. I wtedy stało się, że gdy w powietrzu zawiśli, rumakowi skrzydła wyrosły, i w górę lecieli, jak chmura ogromna, a gwiazdy na nocnym niebie zdawały się tylko iskrami, które niedościgniony rumak z pod kopyt ciskał.

W r. 1894.

Pogrzeb

Przygotowywał się do śmierci. Pokój obit czarnym kirem, postawił na stole lampę, bo stało się całkiem ciemno. Nie wiedział, czy ciemno dlatego, że noc nadeszła, czy że pokój kirem obity — lub może już tak bardzo ciemniało mu w oczach? Zadzwoił, zaprosił do pokoju rodzinę i sąsiadów i oświadczył im, że chce już umierać.

Leżał nieruchomo na niskim łóżku. Kołdra sięgała mu pod brodę i wydawała mu się czarna, choć była czerwona. Na głowie czuł bryłę lodu. Położyli ją tam krewni, aby uśmierzyć jego gorączkę. Ale bryła lodu zamiast roztopiać się, zaczęła się zwiększać i lód osnuł go całkowicie. Twarze krewnych i przyjaciół cofały się za tę zasłonę i zacierały. Lód się rozszerzał — już cały pokój był nim wypełniony. On leżał pod nim, jakby przywarty do lodowej skorupy jakiegoś jeziora, na którym się jego towarzysze ślizgali.

Kiedy się obudził, było już południe. W pokoju było całkiem pusto. Wtem usłyszał trzask z bicia za ścianą na ulicy. Domyślił się, że to o niego chodzi. Prędko ubrał się i wyszedł z domu.

Ulica była świątecznie przybrana. Na oknach w domkach stały czarne kwiaty, z balkonów zwieszały się czarne dywany. Ulica wiała się do góry i ginęła w oddali, zamieniając się w obłok.

Tłum ludu go oczekiwał. Wszyscy ściskali sobie dłonie i cieszyli się, rozmawiając o kimś żywo ze sobą. Wśród nich stał wielki powóz, zaprzężony w cztery ogromne kare konie, którym ślepia krwawo błyszcząły. Na koźle siedział karzeł dziwnie przybrany i niby grzecznym lecz tajemniczo szyderczym ruchem ręki, zaprosił nadchodzącego do wsiadania.

On bez namysłu wsiadł do powozu, a karzeł znowu trzasnął z bicia i pojechał powoli. Tłum ludzi śpiewał coś przygłuszonym głosem, niósł chorągwie, a dzwony odezwały się zdaleka.

Siedział w powozie dumnie, nie śmiejąc się ruszyć. Nie patrzył na nikogo, odnosząc te wszystkie hołdy, śpiewy i dźwięki do swojej osoby.

Długo trwała ta jazda, nogi w kolanach mu ścierpły, lecz nie ruszał się wcale, oczekując końca podróży. Patrzył w niebo.

Minęli miasto, śpiewy i dzwony już umilkły, a tłum zaczął się rozchodzić. Jedni rozmawiali o przygodnych rzeczach, inni zrywali kwiaty, inni znowu szli na boczne ścieżki i znikali w gajkach, których pełno było na równinie za miastem. Sam został.

Powóz jechał dalej. Podróżny patrzył w plecy karła, który siedział na wysokim koźle i nie odwracał głowy. Konie parskały nozdrzami, a ślepia ich krwawiły się. Jechali teraz galopem, a naokoło był obłok.

Kiedy już słońce zachodziło, przyjechali na miejsce. Ziemia była świeżo poruszona, nad nią stali dwaj ludzie, oparci na łopatach, nie patrzyli jednak na przyjeżdżających,

lecz na słońce, przystaniając sobie dłońmi czoła, aby lepiej widzieć jego ostatnie, pełne mocy i tęsknoty blaski.

Karzeł trzasną jeszcze raz z bicza i wjechali w ziemię, a podwoje żelazne zawarły się za nimi. Przepadli w głębi.

Byłże to tunel, czy lawa gęsta? Kamień zdawał się rozsuwalnym jak powietrze.

Było to państwo nocy, państwo nieruchomości, a jednak nieruchomość jakby się za nimi wdał posuwała.

W tej chwili karzeł odwrócił głowę, otworzył usta, a podróżny usłyszał w głębi swej duszy głos ogromny, odbity echem skał tysiąca:

— Ja jestem Bogiem!..

Wróg i nieprzyjaciel

— Przysięgnijcie, obrońcy ojczyzny — mówił wódz do żołnierzy — że będziecie walczyć jak lwy; zdaleka broń palna, zbliższa sieczna, umierający niech kąsa zębami. Oni nam zabrali nasze żony, pomordowali nasze dzieci, shańbili nasze kościoły... zemsta, zemsta najeźdźcom po wieczne czasy!

— Przysięgamy!

A z drugiej strony pola bitwy zagrzmiął głos drugiego wodza:

— Ejże, pohulaliśmy po ich miastach, ejże, obłowiliśmy się ich skarbami, zakosztowaliśmy ich kobiet — czyż nie zapłacimy za to sławną odwagą naszą? Nie możemy się spodziewać pardonu, ale jakąż przewagę będzie miała nasza spokojna pewność siebie nad ich rozpaczą!

— Hurra! — odrzekli żołnierze.

I stały się oba wielkie wojska, chmury dymu zaścieliły równinę. Genjalne zwroty i ataki rywalizowały z cudami waleczności, armaty pękały od strzałów, sztandary jak żagle rozwijały się nad morzem krwi, dokazywano czynów, którychby Homerowi starczyło na dwadzieścia Iliad.

Po kilku godzinach nierozstrzygniętej, najzacieklejszej w dziejach walki, oderwały się od siebie oba wojska i wróciły na swe stanowiska. Jak dwa żubry, które zwarły się w lesie w walce o samice, rozczepiają strzaskane rogi i broczą krwią z łbów poranionych.

Na skraju równiny, która była polem bitwy, rósł ogromny gruby dąb. Pod to drzewo skryli się dwaj żołnierze z obu przeciwnych obozów, szukając ochrony przed gwizdzącymi zewsząd kulami. Zrazu poszli oni w bój ochotczo, zagrzeni ogólnym entuzjazmem, uniesieni ogólną wściekłością, wrzeszczeli, kłuli i rąbali jak wszyscy, przytłumiając gwałtownymi ruchami czołgającą się w sercach obawę, lecz później, gdy huk strzałów przycichał, gdy dymy rozstępywały się, ukazując tysiące niewidocznych przedtem choć tak samo skutecznych niebezpieczeństw, gdy oficerowie zaczęli rzucać hasła do odwrotu, które rosły do znaczenia popłochu, wówczas zmęczenie przemogło odwagę, a instykt samozachowawczy zapędził obu pod to drzewo, którego konary strzaskały ręczne granaty, w którego słoje wgrzyzły się setki na chybił trafił wystrzelonych kul karabinowych.

Dopiero gdy się wszystko naokoło uspokoiło, gdy już słyhać było tylko rżenie konających, ośmielili się obaj przytuleni do kory wojownicy odejść od pnia drzewa i postąpić kilka kroków, aby powrócić do swoich.

Wtem spostrzegli się wzajemnie; po ubiorze wróg poznał nieprzyjaciela. To niespodziewane nowe niebezpieczeństwo, pojawiające się w chwili, gdy zdenerwowani kilkugodzinnym bojem mieli już odpocząć, rozłościło obydwo. Wystrzelili raz i pod wpływem huku znowu zawrzało w nich podniecenie wojenne; skoczyli ku sobie z impetem, lecz pień drzewa zagroził im drogę. Więc z nasadzonemi do żgania bagnetami zaczęli uganiać za



sobą naokoło drzewa, każdy gotów strzelić w plecy przeciwnika i przybić potem do ziemi konającego. Gdy tak manewrowali, starając się jaknajmniej swe ciała narażać, a czyhając na odsłonięcie się przeciwnika, powoli ostygła ich zaciętość i przemieniała się w ostrożność. Niebawem każdy z nich miał już tylko wrażenie własnej ucieczki i z ścigającego stał się ściganym. Nie biegli już z obawy, że chytry przeciwnik raptem zwróci się wtył i pierwszy wystrzeli, skradali się już tylko i wnet jakoś obaj stanęli. Jeden i drugi oparty plecyma o drzewo, w miejscach, które się im zdawały więcej wklęsłymi, trzymał karabin tak, aby każdej chwili lufę skierować w prawo lub w lewo — i oddychał głęboko.

Tak stali dość długo — ich sprężystość zaczepno-odporną słabła, ręce z karabinem opadały. Tymczasem wskutek przeżytych emocyj u jednego z nich odezwała się potrzeba tej funkcji fizjologicznej, której spełnianie wymaga zwykle pewnego hałasu, a przy której odsłonięcie ciała jest nieodzowne dla czystości ubrania. Sytuacja była kłopotliwa: dać w prawidłowy sposób folę potrzebie — znaczyło zachęcić przeciwnika do ataku, a nawet go prowokować. Więc jak najostrożniej zrobił odpowiednie przygotowanie jedną ręką, trzymając w drugiej karabin z palcem na cynglu, potem wygiął się nieco i w celu zagłuszenia właściwej czynności zaczął pokaszliwać, chrząkać i charkać. Wtem posłyszał z drugiej strony drzewa odgłos, będący wskazówką, że przeciwnik już także oddał się tej samej funkcji odważnie i bez ceregieli, czyto dlatego, że miał większą potrzebę, czy że po owem chrząkaniu przeczuł, o co chodzi. Wówczas i ostrożniś, korzystając lojalnie z takiego „zawieszenia broni“ kucnął sobie wygodniej i zaraz lżej mu się zrobiło.

Załatwiwszy jednak sprawę prywatną, obaj wojownicy podjęli napowrót swoje role i za pomocą otwierania i zasuwania zamków przy karabinach z donośnym a groźnym szczękiem ostrzegali się wzajemnie, że mają się na baczności i trwają nadal w nieprzyjaznych zamiarach. Ale wspólne odbycie funkcji tak pokojowej i tak wesoło urągającej całemu napięciu wojennemu, przecież zbliżyło ich nieco do siebie, ta zmiana zaś w ich usposobieniu objawiła się w tem, że podczas gdy pierwaj chcieli się mordować, jakby mechanicznie i na milczki, teraz otworzyli usta i zaczęli się wzajemnie wyzywać i łajać.

— Hej, ty! chodźno tu bliżej! — zawołał nieprzyjaciel.

— Wychylno łeb gamoniu, dam ci cukierka! — odparł wróg.

— Ja mam tu dla ciebie w karabinie takie cukierki, że zaraz wszystkich swoich przodków zabaczysz.

— Ty tchórze! wychodź na pole!

— Daj mi dobry przykład, ty chłystku obszarpany!

— Ty zyzowata kuternogo atlantycka! Chodź tu, to ci oczy wydlubię.

— Takiś tchórz, jak cała wasza armja! Włóczęgiście i obdartusy!

— Ty sam tchórz! My tu przyszli do was, nie wy do nas, wy pokraki weneckie!

— Zbóje i podpalacze!

— My wam tu rasę poprawiamy, boście jeszcze do małp podobni!

— Ty złodzieju z plugawym pyskiem! Dwóch głosek nie wymawiasz a pyskujesz!

— Co ci do moich głosek, ty chodząca dyzenterjo farańska!

— Ty złodzieju wyszczekany, wyście wszyscy złodzieje, a wasz król kapcan!

— Ty, wara ci od mojego króla, małpikrólu!
— Wasz król będzie naszymu buty czyścił!
— A wasz za naszym będzie urynały wynosił!
— Milcz ty, bo jak cię...
— Co jak cię?... ano spróbuj!
— Ty nie przyprowadzaj mnie do pasji, nie radzę ci!
— No to czemu zaczynasz?
— Ja nie zaczynam, to ty zaczynasz, ty grubjaninie!
— A tak, zaczynam, bo mi się tak podoba, i co mi zrobisz?

— Jak się nazywasz, ty pyskаты drabie?

— Niedopytalski! Chodź zresztą tu, zostawiłem pod drzewem swój bilet wizytowy!

— Godny zupełnie ciebie i twojego narodu!

— Ty mi w mój bilet nosa nie wtykaj!

— Zaraz poznać barbarzyńcę!

— Hi, hi, jaki mi cywilizowany! A jak ty się nazywasz?

— Co ci do tego?

— Jak cię zastrzelę, pójdę pocieszyć twoją żonę.

— Ty psiakrew, stul gębę! bo niech będzie co chce, wypadnę i zmasakruję cię! — krzyknął w pasji nieprzyjaciel.

— No, no, nie straszno nadarmo! — rzekł wróg, miarkując mimowoli swą złośliwość.

Umiłkli, nie chcąc się bardziej rozdrażniać, obaj niezadowoleni z tonu tych pierwszych not dyplomatycznych. Myśleli nad tem, jakby wdrożyć akcję pokojową, ale w ten sposób, żeby pierwsza propozycja wyszła od przeciwnika. Więc wróg, chcąc zatrzeć wrażenie swych obelg, wycelował w poznaną już łagodność przeciwnika takie słowa:

— Psiakrew, chce mi się djabelnie jeść!

— To żryj trawę, ty bydlę!

— Widzisz, znowu sam zaczynasz! nie można mówić z tobą!

— No, to czego chcesz?

— Czy ci się jeść nie chce?

— No, a gdyby?...

— Mam kawałek chleba!

— To go zjedz!

— Może cię potraktować, małpikrólu?

— Nie potrzebuję — odburknął nieprzyjaciel.

— Aha, chciałbyś, ale boisz się go wziąć!

— Nie boję się nikogo, ty tchórze!

— Ja grzecznie cię zapraszam, a ty się złościś.

— POCO ty gadasz ciągle do mnie? Ja nie potrzebuję twego chleba, mam swój.

— Ho, ho! no to smacznego!

— Jakiś suchy ten twój chleb, aż tu słyhać, jak sobie na nim zęby łamiesz. A co masz do chleba? Ja mam kawałek pysznego sera.

— Łżesz ojczulku, jak pies! chciałbyś, żebym tu ślinkę polykał, ale ci się nie uda! Może jeszcze powiesz, że masz przy sobie kradzioną koninę i figi?

— Tego nie mam, ale mam trochę wódki.

— Ładny żołnierz! całą spiżarnię przy sobie nosi! obżarciuch! brzuchacz!

— O, piję teraz zdrowie mego króla, a resztę tobie zostawiam, abyś coś miał, gdy mnie zabijesz.

— Gdziebym się tam na twoje życie łakomił, dosyć już dziś tych pawianów rozprułem, a jeden taki sam akurat jak drugi!

— A ja tylko pięciu, boście do mnie wciąż o pardon wołali, wy tchórze sobacze!

Tak przechwalali swoje czyny, sławili potęgę swoich ojczyzn, dobroć swoich królów, genjusz swoich generałów,

ale przez to znowu wgadali się w ferwor polityczny i nie mogli przystąpić do właściwej rzeczy.

Tymczasem słońce miało się już ku zachodowi i powoli zanurzało za góry swą wielką głowę, najeżoną wieńcem czerwonych bagnetów. Zapadający zmrok, ułtawiając swojemi cieniami kroki zaczepne, zmuszał do nich zarazem; trzeba więc już było koniecznie przyśpieszyć rokowania.

— Słońce zachodzi.

— Ouwa!

— Po prawej stronie.

— Nie, po lewej.

— Po mojej prawej, po twojej lewej, o to niema kłótni.

— No i cóż?

— No i cóż?

— Znudziło ci się stać tutaj?

— Ja zaraz pójdę.

— Jak ci się nudzi, dam ci zagadkę do rozwiązania.

— Mamy ją tu właśnie.

— No, czy będziemy do sądnego dnia tu tak stali?

— Zdaje się, niezadługo nadejdzie — tak się ludzie mordują...

— Słuchaj, czy ty żonaty?

— Aha, zgadłeś! i mam troje dzieci.

— Toś ty rezerwista! Żal mi cię, nieboże!

— A ty kawaler?

— Kawaler, ale mam także dzieci, i to wszędzie.

— Powiesiłbym cię na suchej gałęzi!

— Ale ja się już poprawię! Ożenię się z Kaśką!

— No, to cię puszcze.

— I ja ciebie.

— Mamy równe szanse, musimy zawrzeć pokój.

— Albo wiesz co? ja ciebie wezmę do niewoli.

— Jesteś bezczelny! Gdy się jutro spotkamy, to się jeszcze porachujemy!

— I owszem! Tą igielką poszukam twojej wątroby!

— No, to bądź zdrow do jutra!

— Dobranoc!

— No, czemuż się nie ruszasz? Czekasz na mnie?

— A, bo ty wystrzelisz! Tyś się zaczął!

— Nie bój się! ja jestem honorowy człowiek, ale ty — chytry pies!

— Ty, ty udajesz dobrego, ty stary lisie! Chciałbyś mnie w pole wywieść!

— Daj mi święty spokój, ja sobie sam pójdę!

— No, idź, idź, czemu nie próbujesz? Oj, ty chytry!

— Wiesz co? mam na to radę! Obaj sobie wzajemnie nie ufamy, więc najlepiej będzie: wystrzelajmy wszystkie swoje naboje w powietrze, na wiwat!

— Zgoda na to! strzelajmy!

I zaczęła się pukanina, wystraszająca znowu czeredę ptaków, które już były powróciły do swoich dziupli.

— Skończyłeś? jakoś prędko! ja jeszcze strzelam! Widzisz, mógłbym cię oszukać!

— Strzelałem dużo w bitwie.

— No, to wiesz co? odrzuć ładownicę!

— Dobrze, dam ci ten dowód odwagi! Ale ty także?

— Naturalnie!

— Raz! dwa! trzy!

Odrzucił ładownicę.

— Tak skwapliwie odrzuciłeś pierwszy... w tem jest coś podejrzanego! — rzekł nieprzyjaciel.

— A to tchórz dopiero!

— No! no! nie złapiesz mnie! Ty masz jeszcze nabój w karabinie, odrzućno także karabin.

— Czyś zwarjował? Ja mam wracać bez karabina?
To wstyd!

— Znajdziesz ich dosyć po drodze.

— Więc dobrze! — odrzekł wróg z ukrytą myślą —
ale ty także! Naturalnie razem z bagnetem.

— Ma się rozumieć!

— Więc kto pierwszy?

— Ty pierwszy mój synu, dostaniesz za to wódki.

— Ale dajesz słowo honoru?

— Daję!

— Na głowy twoich dzieci, że i ty potem...

— Na głowy moich dzieci!

— Więc dobrze! Raz, dwa, trzy!

Wróg rzucił swój karabin daleko od siebie. Nieprzyjaciel zaraz to samo uczynił, poczem wyszedł z za drzewa, niosąc w wyciągniętej ręce flaszkę.

— Masz, napij się synu!

W tej chwili jednak wróg skierował nań swój rewolwer i wołając patetycznie: Za wódkę płacę ołowiem! wystrzelił. Ale strzał zbyt pośpiesznie wymierzony chybił, strzaskawszy tylko flaszkę w rękę przeciwnika.

— Ty djable! — syknął nieprzyjaciel, zawrzawszy złością nieopisaną i skaleczoną ręką schwycił prawą dłoń wroga tak silnie, że rewolwer z niej wypadł. Ale żwinny wróg czując, że w walce na pięści nie sprosta rozjuszonemu przeciwnikowi, pochylił głowę, rznął nią w jego piersi i odrzuciwszy go kilka kroków wtył, zaczął uciekać. Nieprzyjaciel, chwytając zrazu z trudem w piersi powietrze, puścił się za nim w pogoń, bo, domyślając się przewagi swych mięśni, zapragnął pewnej zemsty na rozbrojonym zdrajcy.

Ten jednak zoczył opodał w trawie na stoku pagórka trupa żołnierza z karabinem w ręce. Skreślił więc w tę

stronę, aby pochwycić nową broń, ale już nieprzyjaciel zmiarkował o co chodzi, i zabiegł wrogowi na poprzek drogę, trzymając ostrzem wdół nóż składany, wydobyty podczas biegu. Dopadł go, zwarli się, upadli razem na ziemię. Wróg zręcznie pokierował upadkiem w ten sposób, że się staczali po pochyłości — trzymając kurczowo w swej dłoni dłoń nieprzyjaciela, uzbrojoną nożem, szamotał nią tak, aby podczas tarzania się nieprzyjaciel sam się nakłuł na ostrze lub zamknął nóż. Zranili się już kilka razy. Gdy mu się to nie udawało i czuł że słabnie, uchwycił w zęby dolną wargę nieprzyjaciela i targał ją.

— Nie kęśaj! — wyrzęzał przeciwnik.

— To wypuść nóż! — szepnął wróg, przestawszy go kęsać na chwilę.

Na jego szczęście nóż jakoś sam się zamknął, a właśnie już obaj dotoczyli się do trupa. Wróg, wyrwawszy się z objęć nieprzyjaciela, rzucił się na trupa, aby co prędzej dobrać się do karabina z bagnetem i do ładownicy, ale tuż za nim rzucił się nieprzyjaciel, udaremniając jego zamiar, i wtedy dokoła martwej dłoni zabitego żołnierza splotły się dwie pary dłoni żywych, drgające nadmiernym wysiłkiem.

W ostatnich blaskach zachodzącego słońca trwała walka najstraszniejsza — walka dwóch rozwścieklonych tchórzów, z których jeden musiał zginąć, a żaden nie mógł uciekać.

W r. 1895.

Okno

W pewien wieczór wiosenny ulicą do Kilińskiego parku wiodącą szedł młody człowiek. Celem, a raczej pretekstem jego spaceru był park, w którym spodziewał się obmyślić lepiej kilka przejęć muzycznych w swojej niedawno skomponowanej sonacie. Był to bowiem kawalek muzyka. Tą samą ulicą szło dużo pań i panien, w modnych estetycznych sukniach; prawie wszystkie wydawały mu się pięknymi, prawie w każdej gotów był się zakochać, gdyby nań która choć okiem mrugnęła. One to ciągnęły go za sobą jakby magnetycznie; a on dawał się porywać temu miłemu prądowi, i szedł za nimi, jakby za zapachem niewidzialnych fiołków.

Wtem nad sobą w otwartym oknie mieszkania parterowego ujrzał dziewczynę—lecz miał czas tyle tylko na razie stwierdzić, że była ładną blondynką i że się nad czemś zamyśliła, gdyż oko jego — w chwili gdy koło niej przechodził — sięgnęło zaraz machinalnie poza nią i zobaczyło głąb dużego eleganckiego salonu. Minawszy okno, dopiero na zakręcie ulicy uprzytomnił sobie, że

tem, co go w postaci owej dziewczyny szczególnie uderzyło, był niezwykle sposób, w jaki oparła głowę na dłoniach, tak, że oczy jej nie patrzyły na ciżbę ludzi, lecz jakby w tak zwaną poetycznie „dal“ bez śladu pospolitej ciekawości. Byłoby to jednak tylko przypadkiem? Aby to sprawdzić, musiałby wrócić... Zawstydził się jednak swojej ciekawości i szedł znowu naprzód, potem przecież powrócił, podszedł ku owemu oknu, lecz swojej nieznanym już w niem nie zastał.

Wzruszywszy ramionami na znak obojętności, poszedł dalej swoją drogą, a przybywszy do parku, spacerował po odległych ścieżkach przeszło godzinę. Udało mu się upolować upragnioną melodię — był nią zachwycony, duma i energja nim wstrząsnęły.

Poszedł potem do części parku bardziej zapełnionej publicznością, lecz posłyszawszy zdaleka orkiestrę, grającą w restauracji, oddalił się jaknajprędzej w obawie, żeby mu ta muzyka nie zamąciła i nie spospolitowała dźwięków krystalizujących się w jego własnej duszy.

Chciał jaknajprędzej spisać je przy fortepianie i postanowił wrócić do domu. Wracając, wybrał naturalnie tę samą drogę, którą przyszedł, ot, żeby ewentualnie mieć w drodze urozmaicenie. Przez urozmaicenie zaś miał na myśli właśnie to okno z piękną nieznaną, choć zresztą wcale o niej nie marzył. I byłby może przyszedł teraz obok okna bez uwagi, gdyby nie to, że było ono jeszcze otwarte, a w odróżnieniu od innych okien parterowych w pobliżu, które były światłem, w tem właśnie było ciemno.

Zatrzymał się na chwilę. W głębi salonu ciemność przechodziła w mrok, gdyż przez otwarte drzwi wpadało światło z dalszych pokoi. Ktoś grał na fortepianie.

„Widocznie zamożni ludzie“ — pomyślał sobie kompozytor, patrząc na wierzchołki rozstawionych koło okna egzotycznych roślin i wsłuchując się w dźwięk fortepianu. „Cudowny instrument, nadzwyczajny“! — stwierdzał dalej, i pomyślał sobie jeszcze, że ten, co grał, gra „sympatycznie“ — bał się sądzić o jego grze surowiej, bo mogła to być przecież „ona“. Zaczął już nawet dosłuchiwać się „miękkich kobiecych odcieni“; wtem gra ustała, a grająca osoba widocznie oddaliła się, jednak tak jakoś cicho, że wydało mu się jeszcze więcej prawdopodobnym, iż to była owa urocza blondynka.

Gdy tak stał na trotuarze, zrodziła się w nim nagle nieopisana chęć: wdrapać się do tego salonu przez otwarte okno, zasiąść do tego precudnego instrumentu i zagrać dla „niej“ swoją sonatę. Na samą jednak myśl o tem, serce gwałtownie bić mu zaczęło, przeraził się własnej zuchwałości i uciekł, lecz potem im bardziej oddalał się od okna, tem mniej bezsensowym i aroganckim wydawał mu się powzięty dopieroco i zaraz porzucony zamiar. „Ostatecznie, w najgorszym wypadku — myślał sobie — powiem, że nie mogłem się oprzeć chęci spróbowania instrumentu, oni zaś — jeżeli pojawią się tam jacyś oni — powiedzą, że mam warjat, oryginał. Oświadczę im wesoło; „możecie mnie wyrzucić napowrót przez okno“ i oddam im się na łaskę i niełaskę“. Zresztą dość ufał swojej wirtuozowskiej sile i gotów był nią w razie potrzeby zaimponować. Wkońcu powiedział sobie: „Wróć, a jeżeli zobaczę, że okno jeszcze niezamknięte — będzie mi to znakiem, że mam wejść“.

Zawrócił więc znowu z drogi, a idąc ku owemu oknu, oddalił myśl o grozie przedsięwzięcia w ten sposób, że wyobrażał sobie, jak będzie dotykał klawiszy, muskanych przez jej paluszki; zdawało mu się nawet, że nie dotknie

bezpośrednio samej klawiatury, ale najprzód jakiegoś niewidzialnego szkliwa, że jego palce wgrzęzną mu niby w odrębne jej fluidum i omotają się jak pajęczyną tem, co ona tu nad klawiaturą rozsunęła, a z czego on będzie mógł poznać jej myśli.

Doszedł do okna — było otwarte. Z bijącym na nowo sercem rozważał jeszcze raz swoje postanowienie, poczekał chwilę, aż przejdzie grupa ludzi nadchodzących ze strony przeciwnej. Zimno go owionęło: zapiął więc mocno tużurek na wszystkie guziki, robiąc to jeszcze w tym celu, żeby mu nie przeszkadzał we włożeniu na okno. Opiąwszy się, uczył się gibkim i zwinnym, i natychmiast, skoro owi ludzie znikli mu z oczu, wdrapał się na okno i przelazł prędko na drugą stronę, nie zostawiając sobie ani chwili czasu do zawahania się.

Szczyściem jego było, że nie przewracał postawionych koło okna wazonów, szczęściem też było, że ani w salonie, ani w sąsiednim pokoju, w którym świeciła się lampa na stole, narazie nie było nikogo. Mimo to po takim wysiłku odwagi ogarnęła go teraz obawa; stał wciąż jeszcze przy oknie, aby natychmiast uciec w razie, gdyby kto drzwi otworzył. W istocie też fakt, że dwa pokoje były puste, musiał być wyjątkowym; najpewniej część mieszkańców wyszła była z domu, może do teatru lub gdzie indziej. Może i jej nie było. Ktoś jednak być musiał, skoro się lampa paliła.

Wtem blisko coś zaszeleściło i owinęło mu się około nóg. Był to kot, który otarłszy się o niego, wskoczył na krzeselko, stojące przed otwartym jeszcze fortepianem, cicho łapkami przebiegł po klawiszach, budząc kilka dysonansów, a potem wlaźł na wierzch fortepianu, tam się usadowił na miękkiej poduszeczce i zaczął mruzczyć. Jakby zachęcony przez kota, młody kompozytor zbliżył

się do instrumentu i dotknął palcami klawiszy, ale bał się przycisnąć. Jego sonata wydała mu się zbyt marną, żeby się nią popisywać jako czemś niesłychanem. Przebierał więc tylko lekutko palcami po klawiszach, tak że zaledwie brzęczały: chciał się rozpędzić, roznamiętnić...

Tymczasem drzwi w sąsiednim pokoju skrzyknęły. Natychmiast uskoczył w bok i zmiarkowawszy w jednej chwili, że nie wykona szybkiego odwrotu przez okno bez przewrócenia wazonów, schował się do ciemnego kąta, przykucnął tam za krzesłem i robił sobie wyrzuty, że skoro już tu włął, to dla czegoż zaraz grać nie zaczął.

Osoba, która go tak spłoszyła, wzięła ze stołu lampę i weszła z nią do salonu. Była to właśnie ta sama dziewczyna, która wyglądała oknem. Postawiła lampę na małym stoliczku tuż obok krzesła, za którym schował się kompozytor, otworzyła kluczem szufladkę i zaczęła szukać. Wtem spostrzegłszy, że okno jeszcze otwarte, zamknęła je i wróciła do stolika szukać dalej. Wyjmowała jakieś papiery czy listy i przerzucała je.

Kompozytor uczył się złapanym w niemiłą pułapkę, w którą włął samochcąc. W tej chwili wszystko mu się innem wydawać zaczęło. Przedewszystkiem dziewczyna przestała być dlań uroczem zjawiskiem; owszem myślał sobie, że to najpewniej pospolita, głupia panna, która go strasznie zbeszta i za drzwi wyjść mu każe. Mówił do niej w duchu: „A idźże już raz do djabła, a ja sobie buchnę przez okno, aż się za mną zakurzy“. Zastanowiło go jednak to, że dziewczyna chwilami listy prędko napowrót wsuwała w szufladkę, jakby w obawie przed kimś, co mógł wejść lada chwila, potem zaś uspokoiwszy się, szukała dalej. Znalazła wreszcie jakiś papier, przeczytała, zmieła, schowała za gors, lecz zaraz potem przeczytała raz jeszcze i podarła na drobne kawałeczki, jakby w naj-

większej irytacji. Potem zaniósła lampę napowrót do drugiego pokoju, wróciła do ciemnego salonu i ukląkszy przed jednym z foteli, niedaleko schowku kompozytora, zaczęła gorzko płakać.

Fakt taki zdolen był w innych warunkach wzruszyć kompozytora do głębi; w tym wypadku jednak neutralizował tylko w drobnej części jego kłopotliwą sytuację i niecierpliwosć, choć wywoływał w nim coś jakby litosne zaciekawienie. Wzbierało w nim ono coraz bardziej, gdy słuchał cichego płaczu dziewczyny. Pomyślał sobie, że gdyby mógł być pewnym, iż ta panienka ma duszę podobną do dziewczyny z I. części „Dziadów“, mógłby się teraz nad nią pochylić i poprostu ująć w ramiona, narzucić się na pocieszyciela, którego może ona w tej chwili myślami przywołuje. Atoli wstrzymała go — oprócz naturalnej bezpośredniej trwogi — także myśl, że może to list od jakiegoś „niego“, np. narzeczonego, a w takim razie on odegrałby w tej sprawie tylko rolę śmiesznego intruza. Bądź co bądź, mógłby teraz oto pochylić się nad nią i naprzykład tylko pogłaskać po włosach, powiedzieć: „nie płacz“, a gdy ona się zdziwi, wytłumaczyć jej wszystko, powiedzieć całą prawdę, tembardziej że mógł liczyć na pobłażliwość u osoby, będącej w takim usposobieniu. Mógłby nawet, gdyby jej pierwsze słowa były po temu, zabawić się w „tajemnicze zjawisko“, ale musiał to prędko uczynić, póki ktoś trzeci nie wejdzie... Wahał się.

I rzeczywiście, ktoś otworzył znowu drzwi w drugim pokoju i jakiś głos kobiecy zawołał:

— Rysiu!

Rysia milczała.

— Rysiu! czyś nie widziała mego kluczyka od szufladki w saloniku?

— Nie widziałam.

— Kłamiesz! Wzięłaś mi go!

Rysia zerwała się, wyjęła kluczyk z szuflady i krokiem energicznym poszła do drugiego pokoju.

— Skradłaś mi go! — krzyknął ów głos kobiecy.

Kompozytor wstał i zdaleka patrzył na tę scenę. Kobieta, która tak szkaradnie posądzała Rysię, była damą starszą od niej, może matką, ciotką lub macochą.

— Tak jest, skradłam go! — rzekła Rysia, rzucając kluczyk na stół — a mama mi jego ukradła! *

— Co? co? tak mówisz do matki? masz za to! — krzyknęła starsza dama i uderzyła Rysię w twarz. Rysia cofnęła się, cała w ogniu, a potem zachwiała się i usunęła na krzesło, jakby bliska zemdlenia. Jej matka, czy też macocha — kompozytor różnie się potem domyślał — przestraszona tym widokiem, cofnęła się i wyszła, trzaskając drzwiami. W tej chwili mimowolny świadek tej sceny ujrzał, że w pokoju sąsiednim są jeszcze inne drzwi tapetowane w ścianie, trochę uchylone, przez które szło się — być może do kuchni. Te drzwi przeznaczył w duchu na drogę szybkiej ucieczki, czekał tylko jeszcze, co Rysia ze sobą zrobi. Rysia siedziała podparta na stole, po jej twarzy ciekły łzy. Zaciskała dłońmi skronie i mówiła po cichu:

— Ach! Ach!...

Potem zawzięcie tłumiła łkanie, oparła głowę na lewej tylko dłoni i patrzyła przed siebie.

Wówczas stojącemu już blisko progu kompozytorowi strzeliła do głowy myśl dzika. Nie wypadało mu przejść koło tej bolesnej postaci szybko i ukradkiem, jakby po złodziejsku, lecz należało dostroić się jakoś do sytuacji. Litość jego nad Rysią, wysnute z jej powodu przedtem romantyczne fantazje, oraz jego własna niezwykła sytuacja

i konieczność dalszej zuchwałości, połączyły się w nim teraz w jakiś jeden uroczysty nastrój. Stanął w progu nie kryjąc już swojej osoby i założył ręce na piersiach, wyprostowawszy się. Lecz całej tej pozy Rysia nie widziała.

— Przejdę obok niej jak duch! — pomyślał sobie w tej chwili kompozytor.

Pochyliwszy nieco głowę, przybrał wyraz twarzy niezmiernie smutny i ponury, i patrząc nieruchomo w ciemny kąt pokoju, jakby w miejsce, w którym miał zniknąć, szedł ciężkim krokiem, nie śpiesząc się zbytnio, ku drzwiom tapetowanym.

Rysia mimo łez w oczach spostrzegła go i, podniósłszy raptownie głowę, krzyknęła:

— Kto tu jest?

Gdyby Rysia nie stała za stołem, byłby może w tej chwili albo jaką chustką głowę jej nakrył, albo całusami usta jej zamknął, bo sytuacja stała się nagle bardzo groźną. Porzucił rolę ducha, skoczył do stołu, położywszy palce na swoich ustach, rzucił przestraszonej Rysi hipnotyzujące „pst!“, zgasił lampę i w okamgnieniu wypadł przez drzwi tapetowane, zamykając je na klucz za sobą. Był teraz nie w kuchni, ale w pokoju, w którym przy stole bębnił zawzięcie lekcję jakiś student w mundurku. Zobaczywszy gościa student zerwał się, zrobił gest, jakby się chciał uklonić, kompozytor kiwnął mu głową, rzucił mu afisz przedstawienia w Colosseum, znaleziony teraz przy wyjmowaniu kapelusza z kieszeni i wyleciał czempredzej przez drugie drzwi, które na szczęście prowadziły wprost na kurytarz.

Tak wyswobodziwszy się z pułapki, miał jeszcze na tyle beczelności, czy też niepotrzebnego wyrachowania, że dla zmylenia pogoni, zamiast szukać wyjścia

z kamienicy, wbiegł na jakieś schody prowadzące na pierwsze piętro, tam zatrzymał się, widząc, że już światło na tych schodach zgaszono, i czekał. Zaraz wybiegł ktoś na kurytarz, może ów student, i popędził dalej, zapewne na ulicę, potem wszczął się jakiś harmider, trzaskanie drzwiami, bieranina. Student wrócił z niczem, a widząc w podwórzu stróża, wychodzącego w celu zamknięcia bramy na noc, pobiegł ku niemu i zaczął wypytywać:

— Czyście nie widzieli? był u nas jakiś złodziej, ale uciekł.

Stróż gderał coś pod nosem i kulejąc na prawej nodze, poszedł zamykać bramę, kompozytor zaś po oddaleniu się studenta, zbiegł ze schodów, niby jako zamieszkały na którymś piętrze lokator, minął stróża, wypadł przez otwartą jeszcze bramę na ulicę i wreszcie odetchnął swobodnie.

Od tego czasu jednak scena podpatrzona w owym domu nieraz jego myśl zaprzętała. Niebezpieczeństwa swego nie pamiętał, natomiast żałował, że wobec Rysi nie zachował się jakoś inaczej. Chodził nieraz popod okno, lecz albo zastawał je zamkniętem, albo — gdy było otwarte — nie można było wejść do środka, bo w salonie zawsze znajdowało się liczne towarzystwo, a zresztą nie mógł już drugi raz zdobyć się na takie szaleństwo. Narazie nie chciał wypytywać o nazwisko rodziny, która tam zamieszkała, bo to znaczyłoby być niedyskretnym, lecz spodziewał się ujrzeć jeszcze kiedy Rysię w oknie lub na ulicy. Kochał się w niej kilka dni, a sonatę swoją poświęcił „nieznajomej“. Wkrótce potem wyjechał uczyć się do egzaminu państwowego, a Rysia wyleciała mu z serca i pamięci; gdy zaś wrócił do Lwowa i szukał jej, powiedziano mu, że „ci państwo“ się wyprowadzili. Dalej sobie trudu nie zadawał.

W rok potem spotkał ją raz w pewnym towarzy-
stwie. Była ze swoim narzeczonym. Przedstawiono jej
kompozytora, lecz nie poznała go wcale. To go nieco
zabolało i podnieciło. Nieproszony zasiadł do fortepianu,
zagrał ową sonatę, a potem rzekł:

— Ta sonata poświęcona jest pewnej nieznajomej
osobie za pokazanie mi łez. Wiąże się z tem dość
zabawna historia, którą mogę opowiedzieć — jeżeli panie
i panowie pozwolą. Zauważam jednak zgóry, że nikt
z obecnych nie powinien jej brać do siebie; rozmyślnie
bowiem zmienię w opowiadaniu kilka głównych szczegółów.

— Dlaczego? Nie zmieniaj pan nic!

— Kto wie? być może, iż nie zmienię, to już tylko
ona będzie wiedziała.

— Więc zaczynaj pan!

I autor sonaty zaczął opowiadać:

W pewien wieczór wiosenny...

W r. 1901.

Metamorfozy Mojskiego

Po rozmaitych daremnych próbach pogodzenia się ze światem Mojski splunął, wyprowadził się do miasta, gdzie go nikt nie znał, i zaczął pędzić życie samotne. A ponieważ swego czasu spotkał się parę razy z zarzutem, że jest egoistą, i sam siebie miał w podejrzeniu, że nim jest w istocie, postanowił zanurzyć się całkiem w uczucie egoizmu.

Kazał sobie zrobić lałę, zupełnie do siebie podobną, ubrał ją w suknie takie, jakie sam zwykle nosił, urządził dla niej w swoim pokoju rodzaj namiotu, od którego zasłonę mógł każdej chwili odchylić. Tam to w fotelu na kółkach rozpierał się ze wspaniałym wyrazem dumy i pogardy świata pan Mojski nr. 2 i wyręczał w wypoczywaniu swego żywego kolegę, który wiecznie pracował nad najnieproduktywniejszemi w świecie rzeczami.

Takim był stały, niezgłoszony jednak na policji współlokator Mojskiego. Zachowywał się przyzwoicie, był niewymagający i spokojny. W nagrodę za to o pewnych porach przypuszczany był przed oblicze swego pierwowzoru. Mojski otrząpywał go pióropuszem z prochu,

nadawał jego rękom i nogom pozycję bardziej pokorną i przysuwał go do stołu, na którym paliła się lampa. Odczytywał mu swoje utwory i cieszył się jego milczącym uznaniem, urządzał mu wykłady, rozwijał przed nim swoje teorie. Od czasu do czasu domyślał się trafnych, a głębokich zarzutów swego sobowtóra i zafrasowawszy się nimi, usiłował je odpierać. W ten sposób omawiał z lalą różne sprawy polityczne, społeczne i literackie i nieraz był zdziwiony i przerażony nowością i demonicznością punktów widzenia, które z wnętrza Mojskiego nr. 2 wysnuwał.

Nie odrazu jednak żywy Mojski poznał się na właściwej wartości swego towarzysza. Z początku wydawał mu się on czemś zupełnie obcem, i dopiero po częstem porównywaniu go ze swoim obrazem odbitym w lustrze, przyszedł do przekonania, że to on sam. Nadto nędzny materializm życia codziennego podsuwał mu wciąż pospolite złudzenie, że ma do czynienia tylko z manekinem, zrobionym z białego kauczuku, wypełnionego wewnątrz trocinami, a kupionym za 500 fr. bez kosztów transportu, cła i opakowania. Dopiero kilkakrotna obecność przy operacjach i sekcjach przekonała go, że jeżeli to cudackie zwierzę z mięsa, krwi i kości, zaszyte w skórę ludzką, ma być substratem ducha, to równie dobrze może nim być — albo nie być — jakakolwiek inna materja. I wtedy nie ulegało wątpliwości, że nieruchomy, obojętny, lekceważący wszystko Mojski nr. 2 lepiej reprezentuje upragniony ideał prawdziwego Mojskiego, niż urzędowa jego obiektywacja, szamocząca się w przestrzeni i czasie, a skazana na śmierć nieodwołalnie.

Dlatego Mojski nabrał wielkiego uszanowania dla swego sobowtóra, nazywał go przyjaciелеm i bratem. Wypowiadał się przed nim z całego życia, zwierzał mu

się z najskrytszemi myślami, stawiał go sobie za wzór, a wkońcu wywłaszczył siebie ze swego „ja” i przeniósł je na manekina, zostawiając sobie tylko cząsteczkę tego skarbu w postaci skromnego, dzieciennego „on”. Pytając więc np. manekina o radę, mówił: „on się pyta, co ja myślę”, „on jest głupi, ja jestem mądry”, „on podziwia moją apatję” i t. d. To przesunięcie się osobowości miało ten skutek, że Mojski żył i czuł już tylko jako trzecia osoba, podczas gdy jego kauczukowe „ja”, mające go za podnózek, gdzieś tam w czwarty wymiar rozrastało się i olbrzymiało, zawadzając swobodnym ruchom Opatrzności.

Tak żyli obaj razem, pan i sługa, wznosząc się w coraz wyższe misterja pogardy dla świata. „On” dostarczał „mi” materjału. I tak ile razy przyszedł do Mojskiego ktoś obcy, wikłał go Mojski w rozmowę, wśród której zachowywał się tak, jak się zachowujemy wtedy, gdy dialogu słucha uważnie trzecia osoba; uśmiechał się tajemniczo i porozumiewawczo spoglądał w stronę zasłony namiotu — tam zaś ten ukryty manekin podsłuchiwał rozmowę i napawał się głupotą i szelmostwem, rzekomo bijącym z odpowiedzi, jakie niepodejrzewający tej wyższej krytyki przybysz dawał na zdradliwie naiwne pytania Mojskiego.

Innym razem sam zamówił sobie dziewczynę, która przyszedłszy, zaczęła się umizgać i przymilać do lali, wysuniętej na środek pokoju. Milczenie i bezwładność pana, siedzącego na fotelu, z początku nie zraziły dziewczyny, myślała, że to taki klient, który z żartów chce udawać umarłego, aż gdy jej umizgi stały się więcej obcesowemi, przestraszyła się nagle, wydała okrzyk przeraźliwy i wybiegła. Mojski ukryty był podczas tej sceny w namiocie; teraz puścił się za nią w pogoń, aby jej

wręczyć pieniądze, czem jeszcze bardziej przestraszył dziewczynę, która była pewną, że to ten martwy jegomość z fotelu wstał i ściga ją, aby ją zawlec do piekła. Przybywszy do domu rozchorowała się, wyzdrowiała, odprawiła pokutę i została siostrą miłosierdzia.

W jasne letnie dni przewietrzył Mojski swoje „ja”: wywoził je na balkon, ubrane w kapelusz Panama, z laseczką w rękach, układał je w pozycję niedbałą, założywszy mu nogę na nogę, a potem zachwycał się wspaniałe szyderczą miną swego sobowtóra, który patrząc na domy miasta, na ludzi w ulicach, na fragmenty zachodu słońca widzialne wśród drzew i murów, raczył to wszystko ignorować.

* * *

Stało się jednak, że okoliczności zmusiły Mojskiego do wyjazdu na kilka miesięcy i do pozostawienia siebie, a raczej swojej lali w zamkniętem mieszkaniu. Stosunki obu nierównych połówek Mojskiego przez ten czas dość się rozluźniły, gdyż niewdzięczny sobowtór nie miał zwyczaju odpowiadać na listy, które do niego „on“ z początku pisywał. Po powrocie Mojskiego stosunki te bynajmniej się nie poprawiły i Mojski nr. 2 miał najsluszniesze powody być zdziwionym i niezadowolonym z postępowania współnika swojej osobowości. Bo jeżeli przez czas swej nieobecności w domu żywy reprezentant firmy Mojskich przeżył jakieś wypadki, wskutek których zwierciadło jego pogardy obróciło się o kąt 180⁰ i zamiast światu zaczęło mówić prawdę jemu samemu, to cóż temu był winien Mojski kauczukowy, który owej podróży przecież tak stanowczo odradzał?

Dawny sługa zbuntował się przeciwko swemu panu i zdetronizował go; serdeczne „ja“ zostało zmienione na

zuchwałe „ty“, chociaż to był zawsze jeszcze ten sam arcy-Mojski, to samo jego „ja“, tylko że ex-on nie chciał się już z tem „ja“ solidaryzować. Wybuchła między nimi otwarta walka, różną bronią prowadzona. Mojski nr. 1 kładł na cięciwę swojej nienawiści jedną za drugą zatrutą strzałę wyrzutów sumienia i bezlitośnie trafiał nią niby w samo serce najulubieńskiego „ja“, lecz Mojski nr. 2 połykał te strzały wyniosłe milcząc i pokazywał, że mu się nic nie stało. Gdy Mojski pierwszy rozpacział, bił się w piersi, płakał i wrywał sobie włosy, Mojski drugi drwił sobie z niego, przyjmował wszystko na siebie i zakupał się szczerlnie w cynizm.

— Jesteś zdolny do wszystkiego złego, niema nikczemniejszego człowieka na świecie od ciebie! — zawyrokował Mojski.

Wstrząsnął nim wstręt okropny, a przez umysł jego przebiegały plany zbrodni, które mógł wykonać.

Posłyszał bicie dzwonów, wyszedł na ulicę i wstąpił do kościoła, gdzie dokoła kazalnicy zgromadził się ogromny tłum ludzi. Rychło wiara i zapal kaznodziei zaczęły nań oddziaływać, porwała go fala ogólnego zachwytu, uczuł łzy napływające do oczu i pochylił czoło. Wtem, gdy podniósł głowę, ujrzał na jedno mgnienie oka wśród tłumy szyderczo wykrzywioną twarz swego manekina. Twarz znikła, ale na jego duszę położył się cień wstydu. Zawrzał gniewem i postanowił się zemścić. Wszakże wiedział, jakie nieczne zamiary knuł w tej chwili jego sobowtór, napierając się o ich wykonanie; jedna chwila, a mógł popełnić czyn, na który zasłużył. „Ach, jakież on podły!“ — rzekł w sobie Mojski. Zgroza ścisnęła go za gardło, dławiła go; obraz możliwego, obcego czynu wypełnił i przygniótł go jak zmorą; zdawało mu się, że wkrótce będzie cały tylko jedną podłością. „Pali się!“

wrzasnął, uwalniając się nagle. W kościele natychmiast zakłębiło się, okrzyk szedł z ust do ust, ludzie zaczęli się cisnąć, wołać ratunku, zamienili się w trzodę bydła. Kilkanaście osób udusiło się, jedną przygnieciono na śmierć do ściany, dwoje dzieci stratowano w popłochu, a potem o mało nie zlynchowano jakiegoś niewinnego człowieka, w którym gwałtem upatrywano sprawcę fałszywego alarmu.

Mojski wrócił do domu z bijącym sercem, a wytoczywszy lalę na środek pokoju, zawołał:

— Jesteś łotr!

I wymierzył mu siarczysty policzek, a następnie wyrwawszy mu kij z ręki bił go po całym ciele, aż zmęczony padł na łóżko i zasnął.

Śniło mu się, że lala siada przy nim na łóżku i mówi:

— A widzisz osie, zmęczyłeś się. Uważaj tylko na drugi raz, bo mnie całkiem popsujesz; kauczuk nie jest taki wytrzymały, jak się tobie zdaje. Tym razem nic mi nie szkodzi; wytrzepałeś mi tylko suknie, których mi już i tak oddawna nie czyściłeś. A z tego popłochu w kościele nic sobie nie rób. Ludzkie bytło samo sobie winno. Kaznodzieja wzywa ich do miłości bliźniego, do świętej zgody, wskazuje na dobra przyszłe, na życie wieczne, pobożni słuchacze rozdziawiają gęby, kruszą się, płaczą — ale wystarczą dwa magiczne słówka, aby ich zamienić w bytło samolubów, z których każdy tylko o sobie myśli. A czyś widział jak w tym ścisku złodzieje się obłowili? ile tam portmonetek wyciągnięto? A czyś widział tę inną interesującą grupę: jak wśród ścisku jacyś dwaj młodzieńcy piękną panią burmistrzową objęli, suknię jej podnieśli i wołali także: „pali się!“ Żałuj idjoto, że ty jednym z nich nie byłeś!

— Podły! podły! — mrucał Mojski przez sen.

— Bądź zdrów osiołku boży! Bądź zdrów i miej na temat pani burmistrzowej sen rozkoszny! Taka będzie moja szlachetna zemsta!

Nachylił się nad śpiącym, dał mu lekkiego szcztuka w nos i wrócił na swoje miejsce w namiocie.

— Podły! — powtórzył jeszcze raz Mojski i westchnął przez sen głęboko.

* * *

— Zanim jeden z nas zginie, zabłyśniesz jeszcze raz w pełnej aureoli cynizmu — rzekł nazajutrz Mojski do swego manekina. — Będziesz potem wzięty w niebo łotrów, bo ja nie zawaham się w twoim imieniu położyć na kartę ostatnią stawkę. Mogę ci tego odmówić? Przecież jesteś wolnym człowiekiem. Czyń, co ci się podoba: ja ze zgrozą idę za rydwanem twoich triumfów szatańskich i załamując ręce, wołam: biada!

Była pewna tajemnica polityczna, którą powierzono Mojskiemu, tajemnica ogromnej doniosłości, od której zależało nie tylko życie pewnej grupy osób, lecz i powodzenie planu, mogącego mieć kiedyś dobroczynne następstwa o niesłychanej doniosłości. To była ostatnia stawka Mojskiego w jego grze z sumieniem.

Zasiadł do napisania decydującego listu i najpierw długo i spokojnie patrzył w twarz swemu towarzyszowi.

— Więc chcesz to koniecznie uczynić? — rzekł wreszcie tonem łagodnej perswazji. — Chcesz to uczynić bez żadnej dla siebie korzyści, bez żadnej zewnętrznej potrzeby? jedynie dla szalonej, bezrozumnej igraszki? Każ sobie przynajmniej dobrze zapłacić, nie daj się oszukać, jak Judasz.

— Tak, każesz sobie dobrze zapłacić — odpowiedział po chwili w zastępstwie lali. — Za to pojedziesz do kąpieli, do Monte Carlo, kupisz sobie harem u sultana. A więc dyktuj!

I pisał zamagnetyzowany wolą manekina, pisał spokojnie i wsłuchiwał się, jak gdzieś na odległych polach jego wyobraźni z hukiem gromów zapadają się gmachy przyszłości.

List wziął posłaniec, a gdy wyszedł, Mojsk milcząco położył na stole przed manekinem nabity rewolwer i czekał. Za kilka godzin przyniesiono mu paczki pełne banknotów, którymi Mojski natychmiast zaczął napychać wszystkie kieszenie swego sobowtóra.

— Tak, jesteś sowicie zapłacony i możesz wyśmiać Judasza. Ale teraz, mój przyjacielu, ze mną sprawa. Przepeliła się miara twych zbrodni, niema dla nas dwóch miejsca na świecie. Sądzę, że nie będziesz miał nic przeciw temu, że zaproponuję ci pojedynek amerykański.

— Do twego cylindra oto wrzucam dwie kule: białą i czarną. Wybieramy...

— Twoja czarna. Egzekucja nastąpi zaraz.

Wycelował broń i po chwili kula rewolwerowa prześwidrowała głowę manekina, widocznie nie robiąc mu wielkiej przykrości.

Wtedy Mojski wpadł w szal. Rzucił się na swego kauczukowego sobowtóra, obalił go na ziemię, a wyobraziwszy sobie, że ten się broni, maltretować go zaczął. Miał zaś nad nim stanowczą przewagę. Wydrapał mu najpierw oczy, potem włożył mu pięść w usta i rozdarł je, i pastwiąc się dalej nad bezbronny, podnosił go kilka razy i tłukł jego czaszką o ziemię, i tak zrobiwszy kilka

otworów w skorupie, roztargał go na kawałki, wysypując zawarte wewnątrz rdzenne „ja“ sobowtóra w kształcie trocin.

Po tej egzekucji uspokoił się, kopnął trupa i położył się spać. Śnił mu się najpierw śmiech, skombinowany z przesypywaniem się trocin; za tym śmiechem pędziło stado byków, wprost naprzeciwko niego, Mojskiego, grożąc mu przebicciem rogami lub stratowaniem. Lecz on w chwili, gdy pierwsze byki już go osiągały, skoczył w górę i zawisnął w powietrzu tuż ponad groźnemi rogami i tak już płynął bez przerwy, podbijając się coraz to wyżej.

* * *

Nazajutrz plakaty ogłosiły miastu, że Mojski umarł. Mojski sam ułożył trupa w trumnie, wypełnił go pieniędzmi i zamknął trumnę. Nie chcąc wtajemniczać nikogo w sekrety bebeczków swojej duszy, uniknął obdukcji zwłok i obudził w ludziach mniemanie, że nieboszczykiem jest może jego brat lub inny krewny. Nim oddał trumnę na karawan, gorzko i szczerze nad nią zapłakał, ale potem tylko rzewna lekkość, bliska wesołości, zapanowała w jego sercu.

Tony pogrzebowej muzyki, którą zamówił dla swego ś. p. „ja“, wywoływały w nim uczucie nadchodzącego odrodzenia, pewność narastania nowego „ja“, przypomniały mu pęknięcie lodów na wiosnę. Osłabiony był jednak jeszcze i senny i dlatego kroki jego wydawały się jużto krokami podrygującego tancerza, jużto zataczaniem się rekonwalescenta. Miał wrażenie, jakby szedł w zmięczeniu ku jutrzence, jakby gdzieś w pobliżu jego stóp pluskała jakaś niewidzialna woda, wylewając się z nieznanych rezerwoarów, lecz rozmiarów tych zmian ocenić nie po-

trafił. Stan jego był może podobny do stanu, w jakim się po operacji znajdował ów dziwny człowiek, który przez kilkanaście lat życia był żywą trumną, bo w garbie na plecach nosił w plecionce z włosów swego martwego brata bliźniaka.

Gdy stanęli nad otwartą mogiłą, zabrał głos, aby pożegnać jeszcze raz zmarłego, do którego już nie czuł najmniejszego żalu. W mowie pogrzebowej opisał całe jego życie, podniósł jego zalety, ale także — nie stosując się do zasady: *de mortuis nil nisi bene* — napiętnował jego zbrodnie, potworne zbrodnie! Wyliczał je bez zająknięcia, trzymając ciężki kamień w rękach, którym chciał cisnąć w trumnę.

Tymczasem szmer tłumu naokoło niego rósł, padały słowa i wykrzyki, których nie rozumiał, zapatrzony w rwący się w jego własnej duszy potok słów szalonych i wzniosłych, które musiał wygłaszać.

Kilka rąk pochwyciło go, lecz oswobodził się i spojrzął w tłum. Tak, nie ulegało wątpliwości, było to stado byków. Wyłamał krzyż z najbliższego nagrobka i zaczął się nim opędzać, a potem dał kilka susów między najbliższe groby. Goniono za nim, on się wymykał gwałtownymi ruchami, wciąż usiłując odnaleźć w sobie ów dziwny stan lekkości, który mu się śnił zeszłej nocy.

I gdy naprzeciwko siebie ujrzał znowu postacie zbiegające mu drogę, nie zwrócił się wtył, lecz pochyliwszy się, wykonał szalony skok, niby ponad tłum.

— Patrzcie, patrzcie, skacze jak pchła! — zawołał któryś z prześladowców.

Te przypadkowe słowa odrazu skryształizowały w Mojskim ferment psychiczny, który się w nim już od rana przygotowywał, i ścięły jego narastające nowe „ja“ w niespodziewaną postać.

— Tak, jestem teraz pchłą! — oświadczył z dumą.
I wykonał znowu kilka skoków, demonstrujących to
nowe wcielenie jaźni.

Wykonywa je teraz dalej niestrudzenie w domu
obłąkanych, utrzymując, że człowiekiem, po którym skacze,
jest cała ziemia, która znowu nie jest także niczem innym,
jak tylko wielką pchłą. Ma się bardzo dobrze, cierpi
tylko niewysłowione męki, gdy który z towarzyszy lub
dozorców ze swawoli posypie go proszkiem perskim;
a sam już widok rozpylacza lub charakterystyczny gest
wielkim i wskazującym palcem, używany przy mordo-
waniu tego biednego stworzenia, napawa go panicznym
przestrachem.

W r. 1908.

Almanzor

czyli

Zęby i ruptura

Robert leżał na łóżku hotelowem i wyl z bólu. Bolały go zęby już od rana, potem ból jakby zaczął się chytrze, aż z nadejściem nocy, gdy już nie można było pójść do dentysty, wyskoczył z zasadzki i zaczął zadawać Robertowi wyrafinowane męczarnie. Wwiercił się maleńkim trybuszonem w miękki, bezbronny koniuszek nerwu, chwilami wbiegał, jak cichy piorun, rozłupywał kość na wskroś i zanurzał się gdzieś w głowie, wywołując na szczycie czaszki ciepłe, rozstępujące się w okrąg fale cierpienia. Robert kwilił i skarżył się pocichu, jak dziecko. Ile razy ból ustawał, usiłował nie myśleć o nim, lecz zasnąć co prędzej. Przypisywał ataki bólu zdradliwym powiewom powietrza, które się przekradało przez szpary między kołdrą a prześcieradłem, i co chwila otulał się nią inaczej, coraz szczelniej. Chuchał w ząb i pieścił go, jakby prosząc o litość, lecz gdy stracił cierpliwość, zaczął palcem pukać w ząb, a potem pięścią gnieść sobie twarz, bo zdawało mu się, że w ten sposób rozszerzając ból, przytępi go i zagłuszy. Złuda ta nie trwała jednak długo, bo niebawem Robert wyskoczył z łóżka i przyciskając

sobie obu dłońmi twarz z całej siły, latał boso po pokoju i wył z bólu w niebogłosy.

Równocześnie po drugiej stronie ulicy przez drzwi otwarte na balkon pierwszego piętra rozległy się dźwięki walca z „Wesołej wdówki“. Grała córka właścicielki kamienicy.

Nienawiść Roberta zyskała inny punkt zaczepienia. Siadł na łóżku i jęcząc zcicha, czekał, aż ustanie ta gra przekłeta, teraz jedyna przyczyna jego bólu i bezsenności.

Wtem zapukał ktoś do drzwi i zaraz wszedł ze świecą w rękę mały, rudy człowieczek, z szwedzką bródką, oczyma okolonemi żółtawymi pierścieniami, tak, że wyglądały jak tarcze na strzelnicy; z pod oczu zaś i od kątów ust rozbiegały się pęki bruzd, które chwilami to zwężały się, to rozszerzały, jakby tłumity nagły paroksyzm śmiechu. Był również ubrany tylko w koszulę. Widocznie sąsiad hotelowy.

— Kto to? — spytał Robert, wściekły.

Przybyły, nic nie odpowiadając, zbliżył się nieco do Roberta i zaświeciwszy mu prosto w twarz, oglądał go od stóp do głów, jakby z satysfakcją, poczem postawił świecę na stole, a sam usiadł na krześle, które sobie wysunął na środek pokoju.

— Panu zapewne dokuczają moje jęki? Nie może pan spać?

Sąsiad kiwnął głową.

— Przepraszam pana bardzo...

— O, o, niema za co! — odezwał się sąsiad ze skwapliwą dobrodusnością.

— Zęby mnie bolą strasznie!

— Zęby! Tylko zęby? — odrzekł sąsiad, jakby z rozczarowaniem. — A ja przypisywałem panu co najmniej kurcze żołądkowe.

I ja wołałbym kurcze... Oj... oj... trochę cierpliwości, kochany panie, a może mi się ból uspokoi i jęczeć przestane...

— Ależ nie... nie... właśnie... Niech to pana nic nie kępuje... Rycz pan sobie na głos, jak lew na pustyni.

Robert zdziwił się tak, że odrazu jęczeć przestał.

— Ależ jęcz pan, proszę uprzejmie...

— Co panu na tem zależy?

— Czytam z pańskiego biletu na drzwiach, że pan jesteś słuchaczem filozofji. Widzi pan: ja także jestem filozofem. Nazywaj mnie pan Almanzorem. Krótko: Almanzorem. Ja to panu później wytłumaczę. Pan zna Lessingowego „Laokooną”? Przypomina pan sobie pewnie stamtąd ustęp, w którym Lessing udowadnia, że hellenizm bynajmniej nie polegał na tłumieniu naturalnych odruchów bólu, że rzeźbiarz każe Laokoonowi wrzeszczeć tak samo jak Sofokles kazał wrzeszczeć Filoktetowi i Heraklesowi... Precz więc z ascetyzmem! Wyj pan! Ułżyj pan sobie!

— W tej chwili jednak nie chce mi się wyć, chce mi się śmiać... Pan masz takie śmieszne, kosmate, chuderlawe nogi!

— Panie! Panie! — jęknął w tej chwili Almanzor błagalnie, akcentując głoskę „pa” — na miłość boską przestań pan!

— Co panu jest?

Almanzor chciał odpowiedzieć na to pytanie, lecz rzuciwszy z podejba ogromnie podejrzliwe spojrzenie na Roberta, zaczął ogródkami:

— Jestem człowiekiem cierpiącym tak samo, jak i pan, ale chronicznie i to co kilka dni. Cóżto, włazisz pan pod kołdrę? Pozwól pan, ja sobie tu siądę na łóżku przy panu. Mam wprowadzić u siebie tynkturę jodową z pędzelkiem...

— Dawaj pan! Ach panie!

Almanzor mruknął jakby z nieukontentowania, że się niepotrzebnie wygadał:

— Pewnie się gdzieś zarzuciła na śmieciach... zresztą poszukam.

Odszedł i za chwilę wrócił, ale tylko z pędzelkiem, zato z papierośnicą.

— Gdzieś djabli wzięli... ale zapal pan papierosa, to panu trochę ulży.

Robert, uradowany niezmiernie, okadzał dymem ząb bolący i słuchał wywodów jegomościa, który mu tak niespodzianie skracał noc bezseną.

— Jestem z zasady przeciwny uśmierzaniu bólów zewnętrzными środkami. „Nawet ból fizyczny uważam tylko za pewien osobliwy rodzaj zamętu duchowego, którego nie umiemy opanować“ — tak opiewa trzeci paragraf mojej ewangelji. Ból, panie łaskawy, to tajemnicze zadanie do spełnienia, to niespodziana ścieżka do Boga, której się zgubić nie powinno! Otwórz pan gębę!

Tu Almanzor nieproszony włożył Robertowi palec w usta i dotykając bolącego zęba mówił uroczyście:

— Aha, dziurawy, bardzo dziurawy! Ta dziura to tabernaculum świętego bólu. Czujesz pan to?

— Czuję tylko, że tędy przewiewa wciąż jakiś wiatr. Fiu! fiu!

— Człowieku, o jakżeż ja ci zazdrozczę twojego bólu...

— Mogę panu łatwo wyświadczyć tę przyjemność, wybijając panu kilka zębów. Ale przecież mówiłeś pan, że i pan także...

— Ach, mój ból., mój nawet wzmianki niewart...

W tej chwili sąsiadka zprzeciwka zaczęła znów rzępolić, a Robert, nie mogąc inaczej uśmierzyć bólu, odwrócił głowę i wcisnął ją tak szczelnie w poduszkę, którą objął ramieniem, że widać było tylko włosy. Almanzor patrzył z zadowoleniem na drgawki Roberta, wtem za-

uważał jego nogi fikające w powietrzu i widocznie jakaś przerażająca myśl przyszła mu do głowy, gdyż nagle zerwał się i skoczył do drzwi, a uchwyciwszy klamkę, krzyknął:

— Bój się pan Boga, odwróć pan twarz, bo nie mogę wytrzymać!

Robert zwrócił ku niemu znowu front swej osoby.

— Jakto? Mnie boli, a pan nie możesz wytrzymać?

— Czy pan to tylko mówisz na serjo? Czy pan nie udaje? Czy pan się nie dusił od śmiechu tam w poduszce? Daje mi pan słowo, żeś pan się nie śmiał?

Czoło Almanzora drgało, oba policzki były nadęte, jak u kogoś, co wziął wody w usta i lada chwila ma ją wybluzgać.

— Daję słowo! — krzyknął Robert, przerażony nie mniej od Almanzora.

— No to jestem narazie uratowany! Aby pana drugi raz nie skorcilo... Lecz pst!

Tu zniżył głos i obejrzał się dokoła trwożliwie.

— Wyznam coś panu, lecz musisz pan przysiąc na swój ząb, że tego wyznania nie nadużyjesz.

— Przysięgam na ząb, — a jest to ząb trzonowy!

Almanzor pochylił się nad Robertem i mówił z trwożliwą tajemniczością:

— Nie wolno mi się śmiać, bracie... bo mam rupturę!

— Co? co? Bodajże cię...

Tu ogarnęła Roberta chętką szalonego śmiechu, lecz w tejże chwili Almanzor ze łzami w oczach chwycił go za gardło, udaremniając zamiar.

— Cicho rybko i przebacz... teraz cię puszcze... Rozumiesz więc Robercie — wszak od chwili tak ważnego

wyznania mówimy sobie: ty? — dlaczego tak gorąco pragnąłem, żebyś miał kurcze żołądkowe...

— Rozumiem... dziękuję ci...

— Muszę szukać zawsze i wszędzie widoków bólu, smutku, nędzy, łez i rozpacz, aby zneutralizować wzbie-
rające we mnie nagle paroksyzmy śmiechu... Gdy się np.
nasycę widokiem takiego męczennika, jak ty, mogę potem
zasnąć spokojnie!... Chociaż nawet i snów nie jestem
pewny.

— Ale dopiero co powiedziałaś, że cierpienie... Nie
jesteś konsekwentnym, filozofie.

— Ja wiem, wiem..., ale tak się pocieszam, że ból
to nic... chcę mu pokazać, że sobie z niego nic nie robię...
Ale i on sobie ze mnie nic nie robi, zbliża się do mnie
od czasu do czasu tajemniczymi, posuwistymi krokami,
i wesoło porywa mnie, jak swego... bestja, kanalja! Ro-
bercie, wyobraź sobie życie człowieka, który w sobie sa-
mym nosi najstraszniejszego wroga, którego natrętnie
napastuje ze wszech stron pokusa śmiechu, który wybu-
dował w sobie nadzwyczajną drażliwość na tym punkcie
i z najbliższych okoliczności ssie truciznę komiki, —
którego mózg, że tak powiem, żyje w nieustannej, zło-
śliwej niezgodzie z jelitami...

— A bodajżeś pękł... Nie! Nie! nie pękaj... czekaj...
Pokaż no trochę, jak to wygląda! — rzekł Robert, podno-
sząc Almanzorowi z przodu koszulę.

Ale Almanzor zaraz odskoczył od niego, a stanawszy
na środku pokoju, rozkraczył nogi, wytrzeszczył oczy
i wygrażając komuś pięściami, jął deklamować głosem
„ścinającym krew w żyłach“:

Patrzcie, o giaury! jam siny i błady!
Zgadnijcie, czym ja posłem?
Jam was oszukał! Wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem!

Widzisz: czy nie jestem w tej chwili siny i bładny, jak Almanzor? To jest mój potężny środek do zwalczania groźnego wroga! Lecz Almanzorem nazywam się jeszcze i z tego powodu, że moje właściwe nazwisko wydaje mi się niebezpiecznie śmiesznym... Nazywam się Siu... Siu... Siu... nie, nie powiem ci, boję się!

— Lecz Almanzorze, czy rozważyłeś, że tam potem przychodzi:

„Śmieje się śmiechem serdecznym“?

— To, to właśnie! To mnie wabi, to mnie ciągnie! Ja muszę zawsze aż tam zajechać. O jakież ja nieszczęśliwy! jaki ja nieszczęśliwy! — Widzisz — dodał, już obojętnie — tak sobie zawsze muszę wmawiać, a ciebie proszę, abyś mi to kilka razy na dzień przypominał. To mi bardzo dobrze robi. Codzień przychodzi do mnie rano list z najtkliwszemi wyrazami współczucia. Te listy sam do siebie pisuję i wrzucam do skrzynki. Na stole u mnie widzisz zawsze czaszkę ludzką. A u ciebie...

Tu rzucił okiem na stół Roberta i struchlał. Na stole stał cylinder Roberta, zwrócony przodem ku Almanzorowi i wyprostowany, zdawał się przysłuchać całej rozmowie. A milczał łotr, tylko chwilami mrugał ironicznie nowiutkim połyskiem od migotliwej świecy.

Lecz Almanzor nie spuszczał zeń oka. Powtarzając wciąż pocichu w myślach: Patrzcie, o giaury, jam siny i bładny... podszedł na palcach w kąt, wziął stamtąd trzcinkę i schowawszy ją za plecami, zbliżył się powolnym, lecz pewnym krokiem do cylindra. Cylinder stulił po sobie uszy i zaciął usta... I była chwila ciszy, kiedy mierzyli się wzrokiem... Lecz widocznie cylinder na jedną tysięczną sekundy przestał panować nad sobą, gdyż...

— Co-o-o?... jeszcze?

I Almanzor nagle trzepnął cylinder w bok. Cylinder, wyrwany raptownie z posągowej pozycji, zakołysał się i zapomocą zgrabnego salto mortale znalazł się na ziemi, obrócony dnem do góry, w położeniu znowu bardzo dwuznacznem.

— Co robisz? Co naśladujesz? — upominał Almanzor i chwyciwszy cylinder, latał z nim po całym pokoju, próbując, gdzieby go postawić tak, by najmniej zwracał na siebie uwagi: pod łóżko Roberta, pod stół. Wreszcie ujrzał szafę, w której tkwił kluczyk, otworzył ją, wrzucił cylinder do jej wnętrza i zamknąwszy, oddał klucz Robertowi.

— Popsuleś mi cylinder, warjacie! — gderał Robert, wypalając już dziesiąty papieros Almanzora.

— Tym razem wygrałem — kontynuował Almanzor, siadając znowu na łóżku Roberta. — Lecz oto miałeś przykład, jaka zmora mnie trapi. O iluż nieszczęść i katastrof był ten śmiech przyczyną! Mój najlepszy przyjaciel — zdrajca, który mi uwiódł żonę — ile razy chciał zostać z nią sam na sam, zaczynał mi do ucha opowiadać sprośne anegdotki — a miał ich pełno — i ja w połowie opowiadania musiałem uciekać, aby nie słyszeć końca. Musiałem się wynieść z rodzinnego miasta, bo z czasem wszyscy tamtejsi mieszkańcy poznali moją przypadłość, przygotowywali dla mnie różne figle, zatrzymywali mnie na ulicy, wołając: panie Siu... (nie, nie zdradzę swego incognito) aby mi powiedzieć jakiś głupi dowcip. Szczególnie we znaki dał mi się Lodzio Topolnicki; zapewne go znałeś?

— Wszyscy go znali!

— Bardzo zdolny człowiek, ale jego rozpasany humor sprowadził go na manowce. Zamiast robić coś pożytecznego, stał się ofiarą swojej popularności, bywał błaznem

pierwszego lepszego, kto mu przez tydzień fundował, za-
pijał się nocami w wesolych towarzystwach, aż skończył
w szpitalu na suchoty.

— Niech mu ziemia lekką będzie!

— Broń Boże, ciężką, ciężką! — bo z pod niej wy-
skoczy i zacznie mnie znowu prześladować. A przyczepił
się do mnie jak pszczołka do kwiatka, pod różnemi po-
zorami zwabiał mnie do knajp, gdzie rezydowali jego
ordynarni kompani, i tam demonstrował na mnie bez-
litośnie siłę swego dowcipu. Musiałem zatykać sobie uszy,
uciekać, kryć się, zmieniać mieszkania... Poprostu sto-
sunek kota do myszy. Raz byłem na galerji w sejmie,
aby z nabożeństwem i powagą, właściwą memu charak-
terowi, słuchać przemówień ojców narodu. Aliści wchodzi
Lodzio ze swoją ohydną świtą, niby mnie nie widzi, przy-
twierdza do balustrady korbę i z gestami, zastosowaniami
do treści mowy, kręci tą korbą w rytmie mówcy. Skoń-
czył mówić rzecznik prawicy, a tu powstaje mówca le-
wicy — w tej chwili mój Lodzio zaczyna korbą kręcić
w lewo... niech mu tego Bóg nie pamięta... natychmiast
poczułem oczyma ducha niewidzialny drut, idący od tej
korby do tego tam mówcy... Skończyło się to katastro-
falnie... zdarzył mi się ten wypadek... musiano przerwać
posiedzenie a dzienniki pisały, że podczas mowy posła X
jakiś człowiek na galerji oszalał...

Mimo to kochałem Lodzia. I gdy w testamencie
swoim zaklął mnie na wszystkie świętości, żebym mu
w trumnie włożył do ust papierosa a do kieszeni za-
palki, wykonałem to polecenie sumiennie, mimo najwięk-
szych trudności, mimo niebezpieczeństwa, bo przecież to
można było uważać za profanację trupa. A ten jego
ostatni kawał był właśnie zamachem na mnie. Bo gdy
posypały się grudki na trumnę i grabarze zaczęli na nią

zrzucać wykopaną ziemię, musiałem, musiałem pomyśleć: Teraz Lodzio siada i zapala sobie papierosa !.. i na świeżym grobie wilem się...

— Ha, ha, z rozpaczy!

— Może tak sobie i kto pomyślał... lecz ja ryczałem jak byk zarzynany na grobie faraona czy innego władcy starożytnego... nie z rozpaczy, o, nie z rozpaczy!

— Wyprawił sobie Lodzio stypę śmiechu! Niech mu ziemia...

— Była mu lekka, była, bo jego to duch może ściga mnie i teraz. Nie dość, że uniemożliwił mi dalszy pobyt w mieście, gdzie mnie ośmieszył, lecz nadto od tego czasu i mnie samego napadają często psie figle, które pewien filozof nazwał „wszami rozumu“. Raz np. chciałem pomalować swoje dziecko na zielono. Innym razem, gdy siedziałem w teatrze podczas występu Modrzejewskiej na piątym akcie „Marji Stuart“... i wszyscy mieli łzy w oczach... ja... zaczynam obserwować siedzącą przedemną korpulentną damę w wielkim kapeluszu... i przychodzi mi na myśl... przychodzi mi... panie, nie patrz pan teraz na mnie... żeby po cichutku wyjąć jej z kapelusza szpilkę i wepchać powoli ale bardzo skutecznie w tę część ciała, olbrzymią rozmiarami, która odwrócona ku mnie... prezentowała się jak...

Tu Almanzor zgrzytnął silnie zębami, znieruchomił swoje oczy i powtórzywszy pod nosem zbawczą formułkę, znowu uspokoił się nieco.

— Szczególnie szkodliwym jest dla mnie zbyt plastyczne wyobrażanie sobie takich szczegółów... jak np. poprzedni. Zlany potem, wyniosłem się podczas aktu z teatru, jak wygwizdany autor. Niekiedy jednak fantazja wysnuwa we mnie samodzielnie różne takie możliwości: a gdybyś..!? Przeskakuję wtedy od myśli do myśli, żadnej

nie wypełniając szczegółami, jakbym uciekał... I rzeczywiście nawet fizycznie uciekam w takich chwilach... Śmiech za mną goni... siadam do fiakra, on za mną z tyłu resorów się czepia... Dziś uciekłem przed nim do parku... wtem na tle zielonej murawy widzę taki obraz: Duży legawiec, skulony w kabłąk, włożył łapy przednie między tylne i przybrał tragiczną, zamyśloną minę, jak ktoś, który czeka na to, co z niego wyjdzie... Za nim o parę kroków z tyłu mały ratler z wielkim nabożeństwem obserwuje ten proces twórczy. Gdy nareszcie fakt „zaistniał“ i wielki pies oddalił się, zbliża się ratlerek na pewną respektu pełną odległość do imponującej pamiątki i, wyciągnąwszy szyję i zawiesiwszy z niesłychanym wdziękiem przednią lewą nóżkę w powietrzu, przypatruje się znowu z podziwem dziełu wielkiego psa, jakby chciał powiedzieć: Ach, a więc to tak! Potem poszedł za tym wielkim psem... Po co? — pyta moja wyobraźnia, czy aby mu pogratulować? A może to był nadworny lekarz owego legawca i miał obowiązek skontrolować jego stolec? O losie! losie, za ciężko mnie prześladujesz! Czy myślisz Robercie, że ja tak tylko dla zabicia czasu opowiadam ci te smutne dzieje? Nie. Opowiadam je w przeczuciu bliskiej już katastrofy, chcę jeszcze raz uleczyć się widokiem własnego nieszczęścia, ogarnąć jeszcze raz cały ogrom mego tragizmu, oparte go na rupturze.

Niestety, nawet i to czasem nie pomaga, gdyż nawet na rzeczy najpoważniejsze rzuca moja przeklęta ruptura komiczne światło. Raz np. poszedłem na kazanie słynnego kaznodziei, aby się dobrze wyplakać. Na nieszczęście spostrzegłem przypadkiem, jak przed rozpoczęciem kazania mówca pokryjomu sięgnął do tabakierki, na nieszczęście dalej straciłem z oczu moment, w którym rzeczywiście ten niuch tabaki zażył. W parę chwil potem

widzę go na ambonie: natchnionym głosem, piękną gestykulacją porывa słuchaczy... Ale dwa pierwsze palce prawej ręki ma skupione, jakby tam wciąż jeszcze trzymał ową niezaytą dozę tabaki... I zamiast poddawać się wzruszeniom, ja obserwuję tylko ruchy tych dwóch zamkniętych palców i czekam, czekam, rychło li ta osoba duchowna podniesie je do nosa i kichnie... ale to tak serdecznie kichnie... i słyszę już w sobie to kichnięcie... zbliża się... i... o Jezu! kichnąłem ja sam na cały głos... i... możesz sobie wyobrazić: katastrofa!

Dlatego boję się, najdroższy Robercie — tu Almanzor pocałował Roberta w bolący policzek — że dziś mnie nawet twój ząb nie uratuje... i że katastrofa przecież nastąpi. Kto wie, czy ja sam przez to opowiadanie nie budzę czyhającego nieprzyjaciela, a ten twój ząb to jego warownia!

— A wynosze mi się ruda małpo! Ta zgóry rzępoli mi nad uszami całą noc, a ten denerwuje mnie swojemi bredniami!

— Ojczy, przyjacielu, nie mów tak, bo się rozbecze... ja cię tak kocham...

— Oj boli... boli... psiakrew boli... no, nie dziw się że ja muszę kłąć, bo mnie boli... a ta gra, gra...

Robert chwycił but i rzucił nim w ścianę w kierunku grającej. Natychmiast Almanzor uczynił to samo z drugim butem i krzyknął:

— Ona gra a nas zęby bolą! Oślica, lafirynda, krowa! Ulżyj sobie, Robku, ja ci pomogę. A ty... — tu wygrażał pięściami w stronę nocnej koncertantki.

— Mnie boli, a ty szopki robisz!

— Ja, szopki? Ojczy, bracie, przyjacielu... nie znasz mnie, ja właśnie jestem wrogiem wszelkich szopek, jestem

najpoważniejszym człowiekiem na kuli ziemskiej... to jest poprostu mój zawód...

— Wyoń się...

— Znowu boli... Ty sobie ciągle mów: wyoń się! wyoń się Almanzorku! tylko nie bierz tego na serjo, ja się nie obrażę...

Robert przymrużył z bólu oczy i kołysząc głową na obie strony, powtarzał wciąż machinalnie a śpiewnie w różnej tonacji: Wyoń się... wyoń się... wyoń się! Robił przytem rękami ruchy rozpaczliwie łagodne a przecieź zakrzywiał palce, jakby grabiami co zgarniał.

— Almanzorze, zmiłuj się, idź po policjanta... Żeby tak długo w nocy grać... Zwarjowała! I ciągle to samo... ciągle tu się myli... słyszysz? ciągle tu się myli... nu, nu, dalej, wole!.. Nie, przez to nie przelezie... A to muzykalność! Ale wytrwała szelma!

— Robku!

Pauza.

— Ja jej jutro mordę rozwalę! — wrzasnął nagle Robert zajadle.

Almanzor wpatrywał się w niego wzrokiem świadczącym o jakiejś podziemnej robocie myśli.

— Powiedz mi, Almanzorze — mówił Robert na chwilę uspokojony — czy to możliwe, żeby fale powietrza, wzbudzone przez grę na fortepianie, rozchodziły się naokoło kręgami i potraçały o moje zęby?

— To jest imaginacyjna hipoteza człowieka zdenerwowanego. Akustyka...

— Bierz djabli akustykę! Ja ci powiadam, że tak jest i basta. Ona wprost nie na klawiszach, lecz na moich zębach gra.

— Na twoich... zębach?... Oho... Oho...

Almanzor chciał uciec, lecz Robert schwycił go za koszulę, krzyząc:

— Pójdźcie i patrzcie na me katusze.

I wy tak musicie umierać!

— Robercie!.. Okropność... jesteś w tej chwili niesłychanie zabawny... podobny całkiem do fortepianu...

— A może ci pokazać moją firmę?... A to są moje pedały!

I zaczął gwałtownie wywijać w powietrzu nogami, które mu Almanzor przytrzymywać usiłował.

W tejże chwili znaprzeciwka strzelił w powietrze długi tryl, tak przyjemny i równy jak szurganie laską po sztachetach, wykonywane w nocy przez pijanego przechodnia. Za nim drugi taki sam, trzeci i czwarty...

— Na moim zębie ten tryl wygrywa! — szepnął żałośnie Robert, mrużąc znowu oczy z rezygnacją, a drgające wargi odchyliły się, obnażając zacięte naukos zęby. — Ha! ha! oj! oj!

Almanzor ujrzał między jasnemi zębami Roberta parę czarnych — właśnie jak czarne klawisze — i był już gotów; powtórzył kilka razy: o! o! jak ten, który ukazuje na nieuniknione już niebezpieczeństwo, poczem rzucił się na ziemię, chwycił się za brzuch i oddał się nieodpartej potrzebie szalonego, bolesnego śmiechu, — tylko gdzieś w jednym zakątku myśl przepowiadając sobie machinalnie słowa:

Śmieje się śmiechem serdecznym!

W r. 1908.

Dukat

Studjum wyssane z palca

— Sąsiadka pewnie wychodzi, żeby na mnie nakrzy-
czeć przez to, że drzwi u mnie otwarte i para bucha?
Czy ja się będę w tej parze dusiła, pani myśli? Smród,
niech cholera porwie. Co pani tak zamyka od siebie?
Ta to pani nie zaszkodzi, pani nie taka wielka pani,
żeby same perfumy wachać. Ja tu od dwóch dni się
sprowadziłam, a drzwi u pani wciąż zamknięte. Myślę
sobie: chorują czy co? Korona by mi z głowy nie spadła,
gdybym wyszła.

— To klucz się, proszę pani sąsiadki, zgubił i wycho-
dziliśmy tamtędy.

— U mnie to się nigdy nic nie zgubi. Ja tędy będę
mydliny wylewała, proszę pani, niech no pani nie sypie
tu tyle odpadków z kartofli. Kartofle to tego roku takie
święństwo, że aż strach.

— To pani ciągle pierze?

— No, a jakże, przecie ja nie żadna hrabina, ani
prezydentowa, ja praczka prewatna, piorę dla moich gości,
niech ich choroba weźmie z temi brudami. Chwała Panu
Bogu, że są brudy, to piorę.

— Ale tu podłoga w sionce zaciekła i szyba wybita.

— Pani pewnie powie, że ja szybę wybiłam.

— A kto wybił? Samo się wybiło? Ja tego płacić nie będę.

— To było wybite, a może wybił jaki dziad, a może mój Staszek. Andrus, cały dzień go w domu niema. Hej, Staszek! Widzi pani, takie zmartwienie, ja go dziś nawalę.

— Helenko! Wynieś tam co dziadkowi! Masz tutaj centa — to nasz dziadek.

— Pani będzie tu dziadów ściągała. A moje dziecko, przypatrz się no dokumentnie, czy to cent, nie dukat. Powycieraj go! A najlepiej nie dawaj. Bo ja, proszę pani, raz się pomyliła i dała dziadowi dukat zamiast centa. Naumyślnie takie nowe centy robią, żeby ludzi tumanić, żeby były podobne do dukatów. Ile dni ja prała, żeby na tego dukata zarobić. Chciałam go dać Matce Boskiej Częstochowskiej za moje grzechy, mojego męża łajdaka i Staszka nicponia; hej Staszek! Czekaj, czekaj, ja ci skórę — czego ty psa — ciągniesz za ogon — puszczaj go. Weź kota od psa — weź hyclu, bo rzucę garnkiem!

— Ale jakże to było, pani kochana, z tym dukatem — bo ja także miałam wypadek...

— Pewnie, jak pani wciąż ściąga dziadów. O, idzie taki przez podwórze, niby żebrze, modli się, ale patrzy na prawo i lewo, coby porwać. Ja pani powiadam, od tego czasu nie mam serca dla dziadów. Pierwej, to ta dałam mu nawet co wychlać, co się zostało, albo i stare papucie, ale teraz — won!

— To oni pani ukradli dukata?

— Niech pani się nie śpieszy, ja to wszystko pani detailicznie opowiem, niech się pani nie przesłysz. Ja miałam dukata. Chowałam go na spodzie kufra, ale raz

było na stole. I tak jak pani, raz: Staszek, zanieś centa dziadowi! To mi się zawsze przypomina, gdy takiego dziada widzę. Trzeba każdemu na palce patrzeć. Potem czekałam ja na tego dziada — myślę: pokaże się on tutaj, zechce dostać drugiego dukata.

— Bo u mnie, proszę pani, to mój mały połknął raz dukata...

— Ale ja pani mówię, że to dziad wziął. Ja ich znam. To trzeba świat znać. Szturknął go mój mąż...

— Tego samego dziada?

— Przecie pani powiadam, że drugi raz przyszedł, ten, a może inny. Mój mąż potrząsnął nim i wysypały mu się z łachmanów pieniądze, wypadł dukat. I bądźże tu litościwym! Mój mąż buch go pod brodę. Skąd to masz? Buch go raz i drugi raz. Dobrze mu tak! Dlatego, proszę pani, ja teraz już nigdy nie biorę dukatów.

— Ale proszę pani, gdy mój mały połknął, to dawaliśmy mu na przeczyszczenie i sadzaliśmy go na nocniczku...

— Co mi tu pani za bzdury plecie! Ja będę dziada sadzała na nocniku! Dziad przecie przysięgał, że to jego. Więc mąż wziął go na policję. Moja pani, coby to sobie można kupić za dukata! Zarekawek, i kulczyk do reparacji, i gorset, i do szparkasy jeszcze dać. Ja oszczędna jestem.

— I proszę pani, jemu to potem wylazło...

— Ta co pani gada! Przecie mój mąż wziął go na policję i potem pił przez dwa dni za mój krwawy grosz, ale się nie przyznał. Wraca, ja go w pysk. Gdzie dukat? A potem on imnie ze dwa razy. Taki łajdak — ja na niego pracuję, a on mi dukata bierze i przepija. I od tego czasu ja nie mam serca dla dziadów. Bo gdyby sobie taki dziad przynajmniej katarynkę kupił, ale on łajdak

zaraz przepije i potem poniewiera człowieka za to, że ciężko pracuje.

— Co pani mówi? I pani się tak daje?

— O, moja pani, ja jego także! Ja jestem pani u siebie w domu! Staszek, weźmiesz ty precz tego kota?

— To mi pani żal, bo nasz dukat się znalazł — niby w nocniku, ale to nic nie szkodziło, chwała Bogu się znalazł.

— Co mi tu pani mówi! Jaby tam gmerała w nocniku! Ja honorowa kobita, moja pani, ja szlachcianka! Ja tu zaraz pani coś pokażę. Widzi pani ten szal! — podoba się pani?

— No, no, to pani sobie kupiła?

— Pani myśli, żem ukradła? Dlaczego ja sobie nie mam kupić! To przecie za tego dukata, o którego się tyle namartwiłam!

— Więc ten dukat się jakoś znalazł? Chwała...

— Ja przecie pani gadam od samego początku. Ten samiuśki, com go dała dziadowi.

— Chwała Bogu, że i panin się znalazł.

— Pewnie, że się znalazł, cóż to ja gorszego?

— A mówiła pani, że dziad go przepił?

— On mi wszystko przepija, ja miała przecie majątek...

— Bo ja odprawiłam nowennę i mój się znalazł w nocniczku dziecka. Ale i panin się znalazł.

— Pani by chciała, żeby się nie znalazł? Co to pani szkodzi?

— Ale jakże to było?

— Staszek, huncfot, go zapodział, wpadł pod kufer, a ja potem znalazłam na spodzie kufra. Potem dostał po tyłku — no, niech ręka boska broni. A pani mi tu wciąż bzdyrze, że mój mały połknął... Jaki mały, co za mały! To się tak łatwo nie gubi, jak się pani zdaje!

Ja pani na drugi raz pokażę ten dukat, zobaczy pani, że nie połknął! Połknął na nocniku! Ha, ha! Dobra jest pani sobie!

— A skądże ta chustka?

— Co się pani wtrąca do mojej chustki?... E, proszę pani, przez panią to mi już woda wychłódła na nic! Nie mam czasu! A ten dukat to pani kiedy pokaże.

Arka

Szkic do powieści

Od setek lat spostrzegano, że ziemia starzeje się w tempie coraz szybszem. Obliczono dosyć dokładnie, że ilość wody zmniejsza się w takiej mierze, że za 25000 lat zupełnie jej zabraknie. Nietylko nawodnienie Sahary się nie udało, lecz nadto w środku każdej części świata porobiły się nowe piaszczyste pustynie, powiększające się na globie ziemskim nakształt wielorakiej łysiny. Zjawiska te przypisywali jedni powstaniu nowych plam na słońcu, powszechniejszą jednak była hipoteza, że wskutek coraz szybszej entropji, rozprasza się zapas energii, zawartej w ziemi. Tę hipotezę zdawał się też potwierdzać zanik życia organicznego. Nietylko w świecie roślinnym i zwierzęcym zauważono ubytek momentów mutacyjnych, tych nagłych szarpnięć woli biologicznej ku wyższym stopniom rozwoju; także ludzkość marniała. Coraz częstsze katastrofy żywiołowe i ubytek wody pogarszały warunki jej istnienia, ale i wewnątrz niej samej objawiały się oznaki starzenia. Siła rozrodcza przygasała, ludzkość niwelowała się do miary przeciętnej pod względem cielesnym i umysłowym i coraz mniej było genjuszów, którzyby ludzkość

ratowali, albo przynajmniej pocieszali i krzepili wobec nadchodzących wieków trwogi.

Sąsiad Mars, dostępny teraz zupełnie oczom, znakomicie uzbrojony, zabiegał ziemi drogę i trzymał przed nią jak zwierciadło jej przyszłości, jak tarczę Meduzy, własną powierzchnię popękaną w symetryczne bruzdy, wypełnione pyłem meteorytowym jak przekreślony rysunek.

Po drugiej jednak stronie — o smutna radości — najbliższa sąsiadka ziemi Wenus przebywała dopiero epoki przedpotopowe, pokrywała się najbujniejszą zielonością i dojrzewała jak kwitnąca dziewica. Już można było przypuścić istnienie zwierząt na niej, ale jeszcze nieprawdopodobnym było, żeby w tych warunkach klimatycznych mogła się na niej narodzić istota myśląca — człowiek.

Zaczęła ziemia żyć wspomnieniami o własnej przeszłości i rozpaczą o przyszłości i powoli wykuła się, najprzód przez romansopisarzy, potem przez uczonych pielęgnowana myśl, by z niegościnnego już planety przenieść się na Wenus. Ta myśl przez wieki zmieniła się z marzenia w nieodwołalną konieczność, około której skupiały się teraz wszystkie dążenia. Połowa ludzkości zajęła się problematami inżynierskimi, gdyż należało za wszelką cenę urzeczywistnić utopijny plan. Wszystko poza tem prawie straciło znaczenie, bo któżby wytwarzał jakie dobra kulturalne, jeżeli niema pewności, jak długo one potrwają i komu i na co się przydadzą. Bo dzięki wysokiemu rozwojowi nauki, historii, ludzkość nauczyła się żyć olbrzymimi perspektywami dziejowymi.

Dla wielu śmiałków nie ulegało wątpliwości, że niegdyś ludzkość dokonała już tego czynu, przeprowadzając się na ziemię z Marsa, tylko że pamięć o tem zaginęła, albo też zatarto ją naumyślnie. Fakt jednak, że się już raz

tak stało, uchodził za rękojmię, że tak i po raz drugi stać się może.

Na wszelki wypadek postanowiono rozporządzalną energję motoryczną ziemi koncentrować w olbrzymich akumulatorach, z wyjątkiem tej, która była konieczną do opędzania potrzeb codziennych. To nie było łatwem, gdyż gromadzenie jej groziło katastrofami i już zgóry ogarniała obawa na myśl, co się stanie, gdy siłę tych wszystkich akumulatorów trzeba będzie sprowadzić na jeden punkt.

Z wielu projektów przedostania się na Wenus ani jeden nie uzyskał jeszcze aprobaty. Jedni radzili czekać, aż nauka dojrzeje do tak nadzwyczajnego problemu lokomocji, inni nalegali, aby bądź co bądź natychmiast próby rozpocząć. Zapanowała gorączka, by los ludzkości co prędzej się rozstrzygnął, chciano wiedzieć, czego ma się oczekiwać. Parli do tego szczególnie poeci i astronomowie. Pierwsi śpiewali w podniosłych pieśniach odrodzenie ludzkości na nowej planecie, drudzy ułożyli tabele najprzychylniejszych dla ewentualnego wlotu konstelacyj niebieskich, w których Wenus była najbliżej ziemi. Pierwsza z tych konstelacyj i najlepsza, wypadła właśnie na 5-go maja roku 4001 ery bezpieźnej.

Wynurzył się wtedy projekt młodego inżyniera polskiego, który obmyślił specjalny móździerz elektryczny do wyrzucenia pocisku w przestwory. Po przedostaniu się poza atmosferę ziemską, pocisk miał sam się poruszać i kierować dzięki nagromadzonej w nim energii ziemskiej. Natrafiwszy na atmosferę Wenus, miał wyzwolić w sobie jeszcze jedno wstrząśnienie i przebić niem tę skorupę. Moździerz miano ustawić koło wodospadów Iguassu, aby wyzyskać ich siłę wodną, nadto ze wszystkich stron świata miały tam być dowiezione akumulatory, lub też miano

tam doprowadzić ich siłę zapomocą przewodów. W chwili wystrzału elektrycznego, cała ta energja miała się przenieść w żyły pocisku i odtąd już tylko jemu służyć.

Projekt ten zrazu nie został przyjęty oficjalnie, lecz zapalił swoją fantastycznością tyle serc i głów, że pod naciskiem opinii publicznej, którą od tej pory zawładło stronnictwo romantyczne, — rządy ustąpiły. Niesłychany entuzjazm ogarnął wszystkich na wieść, że projekt ma być wykonany. Każdy śpieszył, aby dorzucić choćby najmniejszą jednostkę siły do wielkiego dzieła: arystokraci, damy, królowie, starcy i dzieci śpieszyli do korb od małych akumulatorów, aby przelać przez nie część i swojej siły dla zbawczego pocisku, który już się robił na oczach wszystkich, a któremu nadano imię „Nadzieja“.

Ale teraz równocześnie z przygotowaniami do podróży powstało pytanie, kto mianowicie i co ma być przewiezione. „Nadzieja“ nie zawierała dużo miejsca, należało być oszczędnym i wybrednym,

Było przecież jasnym i z obliczeń wynikało, że na drugie takie przedsięwzięcie wyczerpana energja ziemi nie rychło się zdobędzie. Wybór osób i przedmiotów, które się mają dostać na Wenus, był tedy ogromnie odpowiedzialny, tem bardziej, że wybór ten mógł także ujemnie lub dodatnio oddziaływać na ukształtowanie się losów tego rodu ludzkiego, który miał się zainstalować w nowym ulu kosmicznym. Ta kwestja zaczęła dominować nad wszystkimi innymi, gdyż każdy czuł prawo i obowiązek głos w niej zabrać. Wszczęły się spory i dyskusje nieskończone. Rozstrząsano rzecz na kongresach, urządzano plebiscyty. Zgodzono się na to, że wszystkie dotychczasowe wynalazki w modelach i opisach mają być w pocisku umieszczone, międzynarodowa komisja ułożyła historję ziemi, ale największe zatargi wy-

buchały co do tego, które dzieła sztuki ma się uznać za nieśmiertelne, czy też godne nieśmiertelności.

Każdy naród miał swoje pretensje, a wśród narodu każde stronnictwo, każda szkoła, każda indywidualność. Gdyby całą ilość śmieszności, jaka się przytem ujawniła, można było zamienić na energję kinetyczną, „Nadzieja“ byłaby rychło zaopatrzona. Przychodziło do zatargów międzynarodowych, omal do wojen, które groziły już udaremnieniem całego przedsięwzięcia.

Wreszcie zgodzono się na to, że większe narody mają dostarczyć po jednym, mniejsze po pół centnara nieśmiertelności.

Nadto miano wybrać 12 najdorodniejszych młodzieńców rasy białej i żółtej i taką liczbę dziewic w celu przyszłego rozmnożenia ludzkości na nowej gwiazdzie, która pięknymi wieczorami pełna uroku wschodziła na horyzoncie, mrugając brylantowymi rzęsami ku stęsknionym do niej ludziom i ku warsztatowi, na którym się kuła „Nadzieja“.

Było tylko jedno nieliczne stronnictwo, które wyszydziło te zabiegi około przyszłości. Uczyło: niech ziemia da innym planetom spokój, niech nie narzuca im marności swoich, a zostawi im rozwój swobodny i niezależny. Może tam żyją już jakieś istoty rozumne, dla których my będziemy natrętnymi pluskwami. Korzystajmy lepiej z tych ostatnich wieków na ziemi po to, aby otoczyć swój zgon jak najpiękniejszą aureolą, umrzeć we własnej chwale, aktorzy i jedyni widzowie zarazem. Niechaj się dopełni los ziemi.

Tych ludzi zrazu prawie nikt nie słuchał; nazwano ich Bankrutami.

Stronnictwo romantyczne, które się już stało stronnictwem rządowym we wszystkich krajach, prześladowało

ich. Bankruci działali podziemnie i zatruli niektóre umysły. Ukrytą ich ideologią było, że jedyną ucieczką a zarazem jedynym konsekwentnym zakończeniem świata jest przemienienie go w ową Myśl Anaxagorasa, z której był ongi powstał. Gdy cała przeszłość przedstawiała się już tylko jako myśl, to samo mogło się stać z przyszłością i teraźniejszością. Myśl pozostanie tym jedynym suchym kamieniem, który się wynurzy z fal entropji.

Wszędzie w przyrodzie spostrzegali zjawiska ostatecznej, niezrozumiałej krystalizacji i zakończenia i widzieli w nich symbol nie kosmicznej lecz filozoficznej katastrofy, która ma spotkać ziemię i świat. Zamiar Nadziejowców wydawał się im niezmiernie materialistycznym.

I Bankruci mieli swoją poezję i poetów. Niekoniecznie w ścisłym związku i zgodzie z najgłębszymi misterjami swej grupy uprawiali oni i rozwijali legendę o Ostatnim Człowieku. Odgadywano wyobraźnią jego wrażenia, myśli, postać. A obok poetów zagnieździł się spirytyści, wywołujący duchów przyszłości. Na ich posiedzeniach zbiorowe marzenia ludzi zgęszczały się w cząstkowe, poszarpane wizje. Chodziła wieść, że tu i ówdzie pokazywał się Ostatni Człowiek. W ten sposób stronnictwo Bankrutów, którego szczyty pogrążone były w nieprzystępnej i mglistej filozofji, nieco się spopularyzowało i pomimo prześladowań wywierało duży wpływ.

Zbliżył się wreszcie dzień przełomowy, witany drzeniem wszystkich serc. Miejsce, skąd miała się wznieść „Nadzieja“, otoczyły tysiące ludzi, w szerokim łuku amfiteatralnym. Metalowy pojazd błyszczał wspaniale na rusztowaniu, na jego iglicy sztandar tęczy.

Wśród głosów muzyki i oklasków wprowadzono odważnych i zadumanych trochę pasażerów. Kłaniali się

na wszystkie strony, wkładając w ten niemy gest podziękowanie za bezcenny zaszczyt.

Polak przemówił do nich uroczyście:

— Pierwsza księga ziemi opowiada, że kiedy nastął potop, Noe zbudował arkę, aby ocalić ród ludzki. Ziściem starą legendę i ofiarowuję wam...

W tej chwili rozległ się na wzgórzu, w ostatnich rzędach tłumu, dziwny krzyk, w którym mieszał się jakby jęk dziecka z rżeniem śmiertelnem starca i wnet ów krzyk umiejscowił się w jeszcze dziwniejszej postaci: był to wielki starzec, z białą głową i brodą, o pięknych i mądrych rysach, ale zniszczony zupełnie i wychudły, ubrany w rozstrzępione łachmany. Wymachiwał rękami, toczył wokoło wzrokiem przerażonym, i krzyczał, jakby błagał ratunku. Cisnął się naprzód, roztopiono się mimowoli, aby przeszedł aleją nachylonych głów. On zrobił parę chwiejnych kroków naprzód, lecz upadł. Potrzymano go, poprowadzono naprzód; znów upadł, znów go prowadzono, a on całował ręce tym, którzy go prowadzili i szlochał z wdzięczności.

— Skąd przybywacie? — rzekł. — Czyście anioły, czy ludzie? Tu mieszkam, ja samotny, Ostatni Człowiek ziemi, od tak dawna i umrzeć nie mogę. Nie puszczajcie mnie, trzymajcie mnie mocno za dłonie, abym wierzył, że nie jestem sam!

Lecz wtedy koło ludzi rozstało się, cofnęło, obce, dalekie, patrząc nań jak przez ścianę.

Jakby stracił ich z oczu, jakby oślepl, jakby się znowu zanurzył w innej toni czasu, mówił do siebie:

— Nie, niema nikogo i nikt przyjść nie może. Wszyscy wymarli. Zwierzęta nie chcą mnie rozszarpać i uciekają wlokącym się krokiem do lasu. Wiatr usypia, woda się toczy i kołysze mnie na falach, gdy się chcę

utopić, chmury czołgają się po niebie, twarde i nieubłagane nie mogą się skropić, a puste gwiazdy szydzą z umierającej ziemi, patrzącej na swą agonję dwójgiem moich oczu.

— Gdzie jesteś starcze? — zapytał Polak.

— Gdzie jesteś — ktoś mnie pyta. Na wybrzeżu. U moich stóp morze.

— Jakie morze? Czy ocean? Atlantycki czy Spokojny?

— To jest morze pamięci.

— Uciekaj!

— Uciekam na dzikie góry, uciekam przez opuszczone miasta, ale wszędzie wychodzę znowu nad morze pamięci.

— A czy widzisz tam „Nadzieję“?

— Zaczekaj — widzę! Była!

— Więc oto masz nasze dłonie!

Dźwignęli go i przejrzał, a zobaczywszy ich, stał się nowo śmiesznym jak dziecko, uczepił się szyi, płakał, całował.

— Napatrz się, napatrz staruszkule!

Ukląkł przed „Nadzieją“, dotknął jej drżącymi rękami.

— A teraz dosyć — rzekł inżynier — ustąp starcze, młodość rozpoczyna działanie.

Ale trwał w uporze i przywarłszy piersią do „Nadziei“, ruszyć się nie chciał.

— Usuńcie tego rzewnego szaleńca — wołał zniecierpliwiony Polak.

Próbowano go odepchnąć, szydzono, szturkano. Bił się rozpaczliwie, wreszcie na kolanach sunął się do inżyniera i do pasażerów, błagał:

— Weźcie mnie z sobą!

— Głupstwo! Precz z nim!

Wtem z pośród tłumu wystąpił ten, którego znano jako przywódcę Bankrutów, a który zawsze dotąd ukrywał

się przed okiem władz. Przemówił coś pocichu i przenikliwie do inżyniera, a ten, widocznie drażnięty do głębi, odskoczył i głośno odparł:

— Nieprawda! Nieprawda! Uratujemy ziemię! Przenieśmy ją tam! Zeskamotujemy wasz „koniec świata“! Bierzemy go z sobą!

Na te słowa jeden z przyszłych Adamów i jedna Ewa przybiegli, wzięli staruszka pod ramiona i wprowadzili do swego grona.

Zamknęły się drzwi. Wszystko było gotowe. Zbliżyła się chwila astronomiczna. Wpadły w ruch wirowy koła aparatu, nagięła się w niesłychanym wysiłku sprężyna, wykuta zbiorową wolą milionów...

Pod naporem tej woli pomknęła „Nadzieja“ wgóre, lecz przebiegłszy kilkanaście metrów, napowrót opadła na miejsce wlotu. Ciężki okrzyk gniewu i rozpacz wypadł z piersi tłumu.

Polak pośpieszył z pomocą na rozstrzygające miejsce. Znikł w sieci rusztowań jak pajak. Zbadał odrazu cały aparat elektro-balistyczny, nigdzie nie było żadnego błędu, nic się nie popsuło, mimo to machina, wbrew prawom fizyki, nie wypychała pojazdu. Natomiast odbywała się transfuzja energii, powoli, gdyż zabrakło tego nagłego szarpnięcia, które miało wydrzeć z ziemi nagromadzoną w aparacie energję i oddać ją „Nadziei“.

Polak zasepił się. Koledzy spojrzeli ku niemu bezradnie. Poszeptawszy ze sobą, orzekli, że pocisk jest widocznie za ciężki. Polak machinalnie, bez przekonania, przytaknął. Wieść o takim wyniku narady wnet wydostała się do tłumu, który natychmiast rozwałkował ją trywjalnie.

— Za ciężki bestja!

— Ulżyć jej!

— Wyrzucić Adamów!

- Wyrzucić Ewy!
- Wyrzucić połowę Adamów!
- Zostawić tylko jednego!
- Wyrzucić sztukę!
- Wyrzucić literaturę!

Machina balistyczna pracowała wciąż, lecz pocisk jakby przylepł.

Polak stał z załamanemi rękoma, zostawił innym do woli manipulowanie swoim dziełem. Po lekkim uginaniu się rusztowania, poznał, że naiwny sąd tłumu był słuszny. Za ciężka!

A przecież wagę jej miał do niedawna jakby w oku, czuł okiem jej lekkość.

Czy czuje jeszcze?

Nie, już nie czuje, oko nie może już utrzymać na sobie dawnej wagi „Nadziei“, z „Nadzieją“ zaczęło się dziać coś dziwnego. Energja, która miała nadać jej lot, zwiększała jej ciężar.

Tymczasem wskutek nalegania ludu przetrzebiono całe wnętrze pocisku, i zredukowano całą jego załogę do jednej tylko pary pierwszych rodziców, wreszcie ktoś krzyknął:

— Gdzie jest starzec?

O tem zapomniano.

Nie można go było nigdzie znaleźć.

— To figiel piekielnego czarownika!

— Ostatni Człowiek! — przypomnieli Bankruci zagrożeni w przeczuciach.

Wreszcie ujrano go u samego stropu wewnątrz pocisku, trzymającego się rękami i kolanami z całej siły metalowej belki, będącej osią arki, wpartego rozpaczliwie w jej przesła. Zdjęto go żerdziami — a ciało jego było ogromne i ciężkie jak spiż.

Uciekli z pod dzwonu pojazdu ostatni pasażerowie. Cofnął się przerażony tłum. Całe rusztowanie pod „Nadzieją“ zaczęło trzeszczeć i giąć się, wreszcie runęło — „Nadzieja“ z loskotem dotknęła ziemi.

Obracała się naokoło swej osi ruchem wstecznym, wwiercała się w ziemię. Była podobna do olbrzymiego kreta, który przerażony światłem słonecznym grzebie sobie norę. Po arterjach jej cudownego ciała rozlewała się zatruta energja. Czy była nieczysta? Czy zatruto ją dopiero w ostatniej chwili? A może ta jedna kropla wydobyla na jaw jej właściwą chemję?

Rozleciał się tłum przerażony, porzucając miejsce klęski.

Twórca statku odchylił jedną z klap jego, wskoczył do wnętrza i zamknął się. „Nadzieja“ coraz szybciej wirowała, jakby wściekłą furją opętana i wgrzyzała się w ziemię, rozsypując ją naokoło. Z pagórków przyglądali się ludzie jej tonięciu. Wkrótce znikła zupełnie. Tylko mogiła rozkopanej ziemi wskazywała miejsce, gdzie znikła Nadzieja zatruta przez Rozpacz.

W r. 1911.

Wagon astralny

Pociąg nasz wyjechał z Warszawy po południu i pędził przez równiny tak szybko, że gdy się patrzyło na jego ciało wyciągnięte w biegu po szynach, mogło się zdawać, iż bieży dookoła jakiegoś dalekiego punktu, jak gdyby w ogromnej karuzeli podniebnej. Było to wrażenie wesołe i dziecinne. Harmonizowały z niem białe letnie chmurki, rozpostarte w równej jak sufit wysokości nad polskimi polami, a tak blisko jakby się chciały przypatrywać kończącym się już żniwom.

Była godzina piąta. Właśnie oderwawszy się od widoków, wczytywałem się w tchnące grozą kolejową opowieści „Demona Ruchu“ Stefana Grabińskiego i jak prawdziwy filister rozkoszowałem się bezpieczeństwem własnej podróży w kontraście do tych awantur, — gdy wpadła mi do ucha rozmowa, tocząca się — niesamowitem chyba zrzędzeniem — o tym samym przedmiocie.

— Czytała pani przygody kolejowe Grabińskiego? — pytał jakiś młodzieniec panienkę tuż naprzeciw niego siedzącą. Był to zapewne akademik z pierwszego roku, ponieważ miał o wszystkim zdanie gotowe i stanowcze,

ona była, jak sama z pewną dumą powiedziała, steno-
typistką. Od dłuższego czasu on emablował ją energicznie,
zdażył już poprosić o adres, narzucał się z odgadywaniem
jej charakteru, zarzucał jej brak szczerości — wogóle wikłał
ją w rozmowę, która musiała obojgu wydać się jedną
z tych głębszych.

— Nie, ale moja kuzynka była na jego „Kochankach“
i wyszła po pierwszym akcie! — odrzekła panienska,
symbolicznie wyjmując z torebki naperfumowaną chusteczkę
i podnosząc ją do nosa.

— To nie Gru... — lecz Grabiński, nowelista! —
objaśnił młodzieniec i z uśmiechem wtajemniczonego
w sekrety nowej literatury polskiej dodał: — Nazywa się
tak dlatego, że jakiś wydawca go ograbił, nie zapłacił
mu ani feniga za jego piękne utwory.

Z kąta przedziału rozległo się protestujące chrząkanie.
Sprawcą jego był jegomość, którego, jak mi się zdaje,
widywałem bardzo często w różnych, lecz zawsze dobrze
odżywionych postaciach — rasowy paskarz.

— Przy dzisiejszych cenach papieru każdy wydawca
jest dobrodziejem autora i literatury — zaryzykował wreszcie.

Akademik, pomijając niepożądane mu zapewne
wtrącenie się trzeciej osoby, ciągnął dalej:

— Gdyby pani dostała „Demona Ruchu“ tego autora,
radzę pani przeczytać nowelę „W przedziale“. Bardzo
zuchwał! Ciekawym, coby pani pomyślała.

— Ale ja nie ciekawa.

— Proszę pani, Grabiński pokazuje, że na świecie
są wszędzie duchy i cuda. Czy panią interesują cuda?
A może pani wogóle nie wierzy w cuda? Pani jest może
materjalistką? — kontynuował młodzieniec niestrudzenie
swój wywiad.

— Ja sama nie widziałam duchów, ale wierzę, że one istnieją — odpowiedziała panna, wiedząc, iż z tą wiarą będzie jej do twarzy.

— Ja także — rzekł akademik, promieniając ze znalezienia tej nowej wspólności z sympatyczną panią.

Sąsiadujący z nią okazały rejent, odziany w białą jedwabną marynarkę — zazdrość mych oczu — uśmiechnął się pobłaźliwie,

— Widzi pan rejent — wtrąciłem się do rozmowy. — Posądza się młodzież o przedwczesną dojrzałość, a oni wierzą jeszcze w turonie.

— Gdyby pan czytał Grabińskiego — odparł obrzony akademik — stałby się pan mistykiem.

— Właśnie go czytam — tu zademonstrowałem całemu towarzystwu kartę tytułową i stukając ostro palcem w książkę, wykladałem:

— Pan patrzy tylko napozór, na maskę, a nie rozumie pan właściwej intencji autora. Że tam jest mowa o duchach, telepatjach, upiornych pociągach i tym podobnych zabaweczkach — ostatnie słowo podkreśliłem znacząco pod adresem młodej pary — to wszystko nic nie znaczy. Trzeba wiedzieć — tu podniosłem książkę do góry, jakby jej chwilowe posiadanie nadawało mym słowom szczególną kompetencję, — że „Demon Ruchu“ jest... jest... no czym, zgadnijcie państwo? — W przypuszczeniu wielkiego zaciekawienia słuchaczy zrobiłem retoryczną pauzę. — Jest znakomitą satyrą na nieporządki kolejowe w Polsce! Gdzież, jak nie u nas, może się zdarzyć, że po torach wałęsają się jakieś niezanotowane błędne pociągi, że maszyniści zatrzymują pociągi w miejscu nieprzeplanem według swego widzimisie, że pociągi ni stąd ni zowąd gdzieś znikają, że człowiek jest poprostu narażony każdej chwili na katastrofę — gdzież jak nie u nas?

Akademik zrazu rozśmiał się, a potem spojrział na mnie zaskoczony. Ale odkrycie moje wywarło największe wrażenie na innym jegomościu, który, jak się zdaje, był kolejarzem, bo już przedtem zdradził nam wiele sekretów tego departamentu. Dogryzał on właśnie gruszkę i trzymając jeszcze jej ogonek w ustach, śpieszył zsolidaryzować się ze mną:

— W ministerstwie kolei książka ta jest znana. Była kilka razy przedmiotem dyskusji na posiedzeniach rady kolejowej. Nad autorem rozciągnięto tajną opiekę jako nad człowiekiem niebezpiecznym. Wiem z bardzo dobrego źródła, że autor przez osoby trzecie proponował ministrowi Bartłowi sprzedanie sekretu numerów jakichś dwóch wagonów...

— Wagonu śmiechu i wagonu odmładzającego z serji „Ślepego toru“ — pomogłem.

— Tak jest. I żądał wysokich tantjem od eksploatacji tych osobliwości. Minister powiedział: „Niech mi się ten szantażysta już tu więcej nie pokazuje“. Jest tam też jakaś nowela czy wiersz, z którego podobno widać, że to bolszewik, namawiający kolejarzy do sabotażu... Jakiś robotnik kolejowy ustawia szyny tak, aby nastąpiła katastrofa...

— „Smoluch“ — objaśniłem.

Akademik był przygnieciony tyłu argumentami. Wymięnienie słowa „bolszewik“ podziałało rozmaicie na moich współpasażerów. Rejent, który wziął był książkę do ręki i obracał leniwie jej kartki, teraz odrzucił ją, jakby to była bomba z dynamitem; natomiast jakiś człowiek, siedzący w kącie wagonu, drgnął i nachylił się naprzód, nasłuchując. Miał on z sobą wspaniały pled, który trzymał na ręku w sposób, jakiego używają nożowcy lub złodzieje kieszonkowi, gdy chcą się dobrać do mieszkań

swoich bliźnich. Byстрыm wzrokiem taksował podróżnych, biegał nim po siatkach, badając wygląd i rozmieszczenie walizek, torebek i koszów.

Rozmowa ustała, gdyż właśnie zajechaliśmy na nową stację i trzeba było siłami złączonych egoizmów walczyć przeciw napływowi nowych podróżnych, zamknąć i trzymać drzwi, protestować przeciw temu, żeby pasażerowie trzeciej klasy nie pchali się do naszej drugiej, zapewniać, że już niema miejsca i t. d. Mimo to zdołał się do nas wpakować jakiś gimnazysta, niby to chory na piersi. Siadł, starając się skurczyć jak najbardziej. Reszta nowoprzybyłych stanęła na korytarzyku i przyciskając czoła do szyby w drzwiach, zazdrośnie patrzyła na siedzących. Tymczasem pociąg ruszył znowu, a niezmordowany student tym razem po cichu zagadnął swoje vis-a-vis:

— Czy pani wierzy w przeczucia?

Takim tonem, jakby zapytywał: Czy pani wierzy w miłość od pierwszego spojrzenia?

Wieczór powoli zapadał. Odłożyłem książkę, nie mogąc już nic przeczytać. Zapalone w przedziale światło acetylenowe było bardzo nikłe. Rozpoczęły się przygotowania do jakiego takiego spoczynku. Rejent i kolejarz byli w spaniu kolejowem mistrzami, chrapali odrazu, siedząc — natury ptaków domowych, które śpią na bantach. Ten, w którym podejrzewałem złodzieja, zawinął się z głową w pled i chytrze siedział nieruchomo, lecz co pewien czas robił sobie szpary w tym domku. Ja przerabiałem mozolnie kilka pozycyj, mających służyć ku spaniu; każda z nich zajęta na chwilę, wnet wydawała mi się nieznośną, a wierząc się wciąż na miejscu i stwierdzając wciąż bolesną zbyteczność tego spadku po przodkach, jakim jest kość ogonowa, odbywałem niejako ćwiczenia wstępne do siedzenia kiedyś wbitym na pal.

Nareszcie ulokowałem swój środek ciężkości mniej więcej stale i zacząłem oszukiwać siebie miarowemi oddechami, powiedziałem sobie, że kleją mi się oczy i zacząłem je przymykać. Przez przymrużenie powiek nadawałem wszystkim przedmiotom charakterystyczną podwójność i rozkołysanie...

I gdy nawet potem oczy szerzej rozwarłem, podwójność się nie zatracala. Proste linje konturowe ram, listew, całego drewnianego wnętrza przedziału przybrały taki kształt, jaki się widzi na fotografiach zepsutych nieco wskutek wstrząśnięcia aparatu podczas zdjęcia. Chcąc dotknąć stopą podłogi, chcąc ująć ręką pas skórzany od okna, podnieść klapę stoliczkową tam umieszczoną — chybiałem wciąż wskutek nieporozumień między okiem a ręką, jakie się trafiają temu, kto w przezroczystej wodzie chce chwycić zanurzone tam przedmioty. Zapalając papierosa, nadpaliłem sobie wąsa, a zamiast godziny 11-ej wyczytałem na zegarku godzinę 12-tą.

Około tego czasu, obserwując drzemiących współpasażerów, zauważyłem pewne nieprawidłowości, zachodzące w postaciach ich ciał. Dym z mojego papierosa, zamiast się rozwiewać, jakby rósł, mgławicowemi smugami unosił się po przedziale, a potem się jakby tu i ówdzie umiejscawiał... I wówczas z siedzącego opodal naprzeciw mnie akademika zaczęło się powoli coś wysuwać, ostrożnie, w stronę panny. To coś, pochyliwszy się wreszcie nad nią, zmieniło się na swym końcu niby w usta i lekutko pocałowało niemi zaspaną dziewczynę, poczem cofnęło się napowrót. Nie zbudziła się. Wtedy to coś wysunęło się znowu, uwyraźniło się więcej — oprócz ust zarysował się nos, czoło, cała głowa, z boku wyrosły mu ręce i ten namiastek człowieka zaczął namiętnie ścisnąć i całować oddane mu na pastwę rzeczywiste ciało, pod-

czas gdy — że tak powiem — oryginał siedział przyzwoicie, oparty o poduszkę przedziału, odmykając czasem oczy, aby popatrzeć na śliczne spanie nowej znajomej.

Zdziwiła mnie ta siła woli u młodzieńca, który zapewne z mojego dymu zrobił sobie drugie ciało, aby zaspokoić swoje najtajniejsze życzenia. Nie mogłem rozpoznać, czy on sam wiedział o istnieniu swego sobowtóra, — nie zdradzał się szelma, — natomiast panna po pewnym czasie uśmiechnęła się we śnie (czy spała?) próbowała niby odganiać natręta, a potem dała ze sobą robić, co mu się podobało.

Widok był niezwykle à la Grabiński i pikantny à la Kaden Bandrowski. Sobowtór, zrazu podobny do brylowatego cienia rzuconego w przestrzeń, im bardziej się zacałowywał, zaczynał się szklić jak bańka mydlana, mienił tęczwowymi barwami, potem, może nasyciwszy się, tracił barwy, cofał się i chował do pierwotnego ciała jak do futerału, aby po chwili emanować znowu. Byłbym niewątpliwie przeraził się, gdyby to nie było takie... sympatyczne...

Nie zdążyłem jeszcze dokładniej zorientować się co do ekstrabytu akademika, gdy uderzyły mnie zmiany dokonywane się na okrągłej powierzchni mojego reagenta. Jego cielsko w miarę chrapania wydawało z siebie najwyraźniej jakąś parę, która wreszcie skondensowała się mniej więcej na środku jego kamizelki i stała się przezroczystą imitacją człowieka po piersi. Twór ten otworzył oczy, chciał coś mówić, lecz tylko ziewnął raz i drugi, aż potem skłonił głowę, coraz niżej — widocznie po paru wysiłkach przebudzenia się zasnął tak, jak jego oryginał. Wchłonięty po pewnym czasie w głąb cielska reagenta, wynurzył się wnet znowu, tym razem na kilku miejscach i równocześnie; te głowy łypały oczyma, łypały

oddech, ziewały i znowu zapadały w sen. Tak to objawiała się żywiołowa wola do spania u tego człowieka, spał on na tym i — „tamnym“ świecie, spał we wszystkich wymiarach.

Zahipnotyzowany tym widokiem sam już zacząłem gwałtownie tonąć w sen, gdy usłyszałem w przedziale silny śpiew tenorowy. Śpiewano po włosku arję z „Trubadura“. Kto śpiewał? Wszyscy pasażerowie byli napozór pogrążeni w drzemce. Myślałem, że ktoś z nich wiezie gramofon, który przypadkiem zaczął funkcjonować. Wkońcu jednak stwierdziłem, że źródło śpiewu znajduje się tuż przed ciałem rzekomego paskarza. Śpiewał widocznie jego sobowtór, czyli jak to później nazwałem, jego astralnik. Ponieważ nikt się nie zbudził, stało mi się jasnym, że tylko ja ten śpiew słyszę, a raczej czuję jakimś tajemniczym sposobem. Prawie jak Zygfryd, gdy zabiwszy smoka, zrozumiał śpiew ptaków, — tylko że moja sztuka była trudniejsza. Głos był przyjemny i czysty, z czego wynioskowałem, że jego właściciel musi być... fryzjerem — jeżeli w tym świecie przymioty astralnika są nietylko wyrazem życzeń, lecz i rzeczywistą własnością oryginału. Fryzjerem — tak mi się zdawało, ponieważ gdzieś raz słyszałem, że pewien słynny tenor, zanim został cyrulikiem sewilskim, był cyrulikiem warszawskim...

Jeszcze nie skończyłem swych wniosków, gdy z mroku wywinęła się jakaś astralna ręka i — łups! uderzyła śpiewającego astralnika w twarz. Uciszył się natychmiast. Ręka cofnęła się jak na sprężynie — pod pled, którym się przykrywał mój domniemany złodziej. Patrzyłem ku niemu z obawą, pewny, że na tem się nie skończy. Jakoż niebawem wysunęła się z pod pledu znowu ta sama ręka astralna, dowolnie zwiększając i zmniejszając swą długość. Palców miała co najmniej kilkanaście. Szperala

wśród walizek i torebek, obmacywała pasażerów po kieszeniach, wsuwała się tam, zatrzymywała długo, wracała do właściciela — poczem wyciągała się znowu, niosąc astralne pieniądze, któremi wspaniałomyślnie uzupełniała poczynione w portfelach luki. Ten kantor wymiany tak mi zaimponował, że nie ruszywszy się nawet, pozwoliłem się również obskubać, nie wierząc zresztą w realne skutki tego astralnego rękoczynu.

Zapraǳiałem mieć jakiegoś spółnika swoich spostrzeżeń i korzystając z tego, że źle siedzący gimnazysta nie spał prawie wcale, zagadnąłem go:

— Czy pan widzi, co się tu dzieje?

Ale nie odpowiedział mi wcale. Powtórzyłem pytanie, nachylając się w jego stronę, ale z tym samym skutkiem. Zacząłem krzyczeć, ale on widząc ruchy moich ust, tylko wypatrzył się na mnie i wreszcie powiedział po warszawsku:

— Pan życzy?

Z tego poznałem, że byłem zupełnie izolowany na wyspie moich przywidzeń. Tymczasem astralniki broiły dalej.

Jeden wysunął się z gimnazysty i astralnym palcem dłuwał w jego rzeczywistym nosie. Potem wziął się do płatania figlów: łechtał pannę pod uszko, rejenta po łysinie. Wtedy z rejentowego ciała podnosiła się mozolnie astralna łapa, aby trzepnąć natręta, lecz wnet opadała sennie,— za nią podnosiła się druga, trzecia, czwarta, lecz żadna nie dosięgła celu — rejent był absolutnie nie zdolny do wytworzenia w tej chwili energiczniejszego astralnika. Postanowiłem powiedzieć mu to nazajutrz. Wogóle najżywotniejszym i najniezależniejszym okazał się astralnik gimnazysty. Oderwawszy się zupełnie od swego właściciela, siadł rejentowi na jego szerokich, poduszkowatych kolanach, aby sobie powetować niewygody, ponoszone na miejscu prawdziwym.

Zaraza astralna ogarnęła i kolejarza, który — astralnie — przysadził się u boku do stenotypistki, lecz popadł natychmiast w spór z astralnikiem akademika. Zaczęła się między nimi bójka, jeden drugiemu wbił głowę w miękkie ciało, przeszywał go sobą nawskroś bez żadnego efektu...

Końca tego pojedynku nie dojrzałem, gdyż tymczasem przez szybę w drzwiach wsiąkały do nas astralniki ludzi czekających na korytarzu, sadowiły się na naszych kolanach, karkach, plecach, rozciągały się wzdłuż i wszerz. Wszystko zaczęło się kłębić i przeplatać — dla nich było widocznie jeszcze bardzo przestronno, ja myślałem już, że się tu wszyscy razem podusimy. Zauważyłem też, że ilekroć zatrzymywaliśmy się na stacji, astralniki bladły, zato, gdy pociąg się rozpędzał, szalały, im szybciej on bujał.

Błysła latarka i wszedł konduktor. Astralniki natychmiast skurczyły się i jak wystraszone psiaki przypadły ku ziemi, skoro się tylko pasażerowie rozbudzili. Przy okazywaniu biletów, zapytałem konduktora:

— Jaki jest numer tego wagonu?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Stawiam na loterji. Czy pana dziwi to pytanie?

— Co cztery tygodnie w piątek bywam zawsze w ten sposób przez kogoś zapytywany i to zawsze w tym wagonie. Czy pan zauważył w nim coś szczególnego?

Opowiedziałem mu krótko, co widziałem, i wskazałem ręką na przykucnięte do ziemi astralniki:

— Oto pasażerowie, którzy tu jadą bez biletów.

— Zgubił pan szczyryk czy zapalki? — spytał konduktor, niżając latarkę ku ziemi. Był jakby głuchy i ślepy.— Czy zanotował pan sobie już numer, który panu powiedziałem?

— Nie, jeszcze mi pan nic nie powiedział. Wewnątrz numer jest wymazany.

— Powiedziałem panu już dwa razy. Nie nudź mnie pan dłużej, nie mam czasu.

Astralniki ukradły całą tę część rozmowy, która się do nich odnosiła!

Gdy konduktor odszedł, wynurzyły się jakby triumfując. Ale wydawało mi się, że tymczasem ich fizjologia i psychologia wstąpiła w nową fazę. Gdy przedtem były niejako symbolami życzeń swych właścicieli, teraz wyrosły, wyemancypowały się i nabrały własnej indywidualności. Jakby próbowały dopiero tych nowych form życia, roz-
zuchwalając się coraz bardziej. Postanowiłem nie wtrącać się do ich sfery — jeżeli mnie same nie zaczepią.

Niestety, tę neutralność zepsuło przykre nieporozumienie.

Zatrzymaliśmy się właśnie na krótkim przystanku. Ktoś chodząc po peronie krzyczał na całe gardło:

— Piwko! Piwko! Piwko!

Natychmiast otworzyłem okno, aby spróbować, czy wypicie tego napoju nie odpędzi czarów grasujących w wagonie. Wraz z moją głową wysunęło się z okna kilkanaście rąk astralnych, długich, chudych, drgających chciwie w kierunku domniemanego piwa. Przybywało ich coraz więcej, zdawało się, że cała zawartość astralna przedziału zamieniła się w ręce, wysterczające stadem poza okno, chwiejące się elastycznie na wszystkie strony, jak bukiet węży w „Lilli Wenedzie“.

— Piwko! Panie Piwko! Panie Piwko!

— A żeby cię!.. zakląłem. W tej chwili ruszył pociąg, prychnąc cuchnącym dymem. Szarpnąłem za pas od okna i zamknąłem je z trzaskiem, zanim ręce zdołały się cofnąć. Zostały odcięte i spadły po drugiej stronie, jak kawałki makaronu. Rozległ się cichy, jakby mysi pisk.

— Przepraszam państwa! — rzekłem milcząco, ale astralniki mnie słyszały.

Kikuty cofnęły się w głąb, lecz niebawem wysunęły się znowu z odrośniętymi już kończynami. Ich ruchy zwracały się teraz w moją stronę, lecz trzymały się w przyzwoitej odległości jakby jeszcze niepewne i trwożliwe.

Nic sobie nie robiąc z ich obecności, zdjąłem z siatki swoją walizkę i otworzywszy, wydobyłem z wnętrza paczkę czekolady orzechowej. Rozłamawszy ją na kawałeczki, ułożyłem je na tekturowej przegródce walizki, zjadłem jeden kawałek z objawami najwyższego delektowania się, poczem wstałem i wziąłem się do otwierania okna. Szło mi to niesporo — czy w szparach uwieźły jakie strzępy ciał astralnych czy inne лихо, dość, że udało mi się spuścić okno tylko na kilka centymetrów wdół, a potem zacięło się tak, że nie posuwało się ani wdół ani wgóre, Mozoląc się daremnie przy nieposłusznem oknie, rzuciłem okiem w bok. Mój podstęp udał się: do walizki wlażyły już astralniki wszystkich pasażerów i łakomie lizały czekoladę. W mgnieniu oka spuściłem wieko, zatrzasnąłem i sam z rozmachem siadłem na niem, aby się astralniki nie wymknęły. Okropne ich wycie wnet rozradowało serce. Zgilotynowane głowy zamknąłem na klucz — myśląc sobie, że będzie to dobry materiał do sekcji.

— Szczególny sposób zamykania walizki — rzekł w tej chwili fryzjer, obudzony oczywiście nie wyciem astralników, którego z pewnością nie słyszał, lecz trzaskiem wskutek zamykania.

— Terazniejsze zamki tak się zacinają. — Ale przy sposobności — czy wolno panu zadać jedno pytanie? Jakim głosem pan śpiewa? Zapewne tenorem? Czy pan lubi „Trubadura“?

— Wybaczy pan... wybaczy pan — szukał słów fryzjer — że będę spał dalej...

— A czy nie mógłbyś mi pan sprzedać nożyczek?

— T-e-eraz?

I obrócił się na drugi bok, zostawiając mnie sam na sam z tą hołotą... Reszta pasażerów spała także, nawet figlarny gimnazista — widocznie astralnicy czerpiąc z nich życie, oddziaływały na nich tak usypiająco.

Podnosząc walizkę na siatkę, wcale nie czułem przybytku ciężaru. Zaniepokoiło mnie to nieco, ale wiedziałem, że astralnicy na pewien czas są unieszkodliwieni. Głowy nie odrastają im chyba tak prędko jak ręce, to nie wypada dla istot duchowych. Tymczasem postanowiłem zwiedzić cały wagon i ostrożnie wyszedłem z przedziału, strzegąc się potrącić kogokolwiek.

W korytarzu stosunkowo niewiele było astralników — natomiast w prawdziwym oblężeniu trzymali oni... klozet. Było to widocznie jeszcze pierwsze pokolenie astralników, nie wyemancypowane od właścicieli.

Ale gdy przebiwszy się przez ten ogonek, otwarłem drzwi do sąsiedniego przedziału, który mieścił trzecią klasę na sześciu ławkach, uderzyła ku mnie stamtąd cała fauna i flora astralna. Ciała śpiących głęboko ludzi były podłożem, na którym ona wyrastała, wypełniając sobą przedział. Najbliżej mnie kłębiło się coś niby stado wielkich białych ptaków, śpiących z głową pod skrzydłem; głowy te nagle poruszyły się i wyciągnęły ku mnie groźnie, lecz zamiast gęgać, wydawały głuchy pomruk. A dalej i w głębi niby poplątane białe drzewa, potem wszechgalareta, bathybius Haeckeli, pramaterja, cieknąca niewiadomo skąd — z ludzi, czy ze szpar podłogi, czy przez otwarte okna ze zbyt bliskich gwiazd i księżyców. Ta rzecz znajdowała się tu jeszcze w epoce przedhistorycznej, kiedy

nie rozszczepiła się jeszcze dokładnie na człowieka i astralnika. Wzbierało to dopiero i przyplýwało ku mnie...

Wciąż jednak wydawało mi się, że nie jest to wszystko takie straszne, jak wyglądało... Poprostu sądziłem tak przez grzeczność, uważając, że to zapewne jakaś specjalnie dla mnie przez „Jakąś Wyższą Istotę“ zaaranżowana historia, która zresztą jest w jakiś sposób nierealna. Mimo to wolałem cofnąć się w bardziej cywilizowaną sferę Astralji. Depcząc mimowoli co chwila po jakichś żyjątkach, otworzyłem drzwi do mego przedziału. Był już po sufit zapełniony dobrze rozwiniętymi astralnikami. Przeciskałem się przez nich jak przez górę żelatyny, a stanąwszy wreszcie przed swoim miejscem, zastałem je... zajęte. Siedział na nim astralnik, bezczelnie zagładając mi w oczy.

Niby nie rozumiejąc tego, siadłem jakby nigdy nic, licząc po dawnemu na to, że jest to tylko zjawisko optyczne. Ale ciała astralników mego przedziału nabrały widocznie tymczasem większej gęstości. Napotkałem na opór. Siadałem na niego raz po raz coraz silniej, przytłaczając go równocześnie plecami do ściany, aż się wreszcie rozbrzyznał.

Coś się ruszało po moich kieszeniach. Przeszukałem je i wyjąłem kilka małych astralników, których nb. rozgniotłem. Podczas tego polowania namacałem w kieszeni nóż, подарowany mi niegdyś przez p. Franciszka Mirandollę, i znowu ogarnęły mnie myśli wojownicze, chociaż przedtem za najwłaściwszą broń przeciw temu wrogowi uważałem... nożyczki...

Nagle naprzeciw mnie pojawiły się jakieś usta, pod niemi nos, a u dołu błyszczące oczy. Niespodziewane to zjawisko przestraszyło mnie tym razem naprawdę, aż się zorientowałem, że to astralnik zwisający z sufitu głową

wdół, czy też stojący na nim nogami — bliżej rozróżnić nie mogłem. Za nim kilku innych szeregiem wisiało w ten sam sposób, jak stalaktyty. Domyśliłem się, że to były głowy odcięte, które rzucone razem z walizką przypadkiem nawywrót, wylazły z niej, lecz nie umiały już odnaleźć normalnego położenia i zapuściły korzenie ku sufitowi. Ledwie to pomyślałem, ciała ich przekreśliły się i spadły wdół ku podłodze, głowy jednak zachowały tę samą pozycję.

— Macie przewrócone w głowie — rzekłem po chwili do tego, który mnie chciał nastraszyć, a był widocznie ich delegatem.

— Pan traktujesz nas en canaille — szepnęła delegat dziecięcym głosem, jakby ucząc się dopiero mówić.

— Czemu panowie napastujecie spokojnych pasażerów?

— Bo to nasz wagon. Tu się lęgniemy i żyjemy. Jak pan się domyśla — wagon z serji „Ślepego toru“.

— Nie istniejecie. Jesteście tylko dymem mego papierosa.

Delegat rozśmiał się.

— Jest pan mocno zarozumiały. Wogóle pan bagatelizuje nas... Od samego początku podsuwa nam pan robienie różnych głupstw. Wychowawcze oddziaływanie duszy pańskiej na nas jest niżej krytyki.

— Ja waszym wychowawcą?

— Każe nam pan bić się wzajemnie po twarzach, zaczepiać kobiety...

— Czyżbyście byli samymi tylko mężczyznami?

— Zostaw pan te żarty. Miewaliśmy tu już innych, lepszych wychowawców.

— Proszę bardzo, nie zwałajcie winy na mnie.

— Sprowokował nas pan czekoladą. Cze-ko-la-dą! —
podniósł głos delegat.

— Czy nie była dobra? A piwko jak panom smakowało? — dodałem, aby widzieć, jak będzie wyglądała wściekłość delegata.

Głowa jego zaczęła się obracać nakształt tarczy, wysadzonej blisko brzegów wirującymi również z gniewu oczyma jak drogiemi klejnotami, a w środku usta okrągłe jak ryj wydawały coś w rodzaju bulgotu. Gdy się wreszcie uspokoił i zatrzymał, rzekł:

— Zginiesz pan.

— Za co?

Delegat zawahał się.

— Za to, że pan lekceważysz nas, duchy, ba, nie wierzysz pan nawet w nasze istnienie. Czyhaliśmy tu na pana. Musimy pana namacalnie przekonać.

— Ale jeżeli to uczynicie, jakże potem uwierzę?

Delegat przeczuwał w tem pytaniu jakiś haczyk i zastanawiał się ponuro, poczem zakonkludował:

— Pan myśli w tej chwili, że my, duchy, tępo myślimy. Że my, duchy, nie jesteśmy inteligentne.

— Tak, macie za mało w sobie ducha.

— Za to wyrzucimy pana przez okno!

Oblizął się do tego pomysłu.

— Ja będę krzyczał.

— Nie usłyszą pana.

— Za mały otwór.

— Na pańskiego astralnika wystarczy.

— Ja mam astralnika? Proszę bez impertynencyj.

— I pan, i pan go ma.

— Dlaczego się tu nie zjawia? Pokażcie mi go panowie.

— Pan sam jest swoim astralnikiem.

— Dobrze wiedzieć.

— Dlatego przecisnie się pana przez ten otwór i...

W tej chwili zadałem mu w oko cios nożem, który przygotowywałem sobie podczas rozmowy, wsadzając nóż w rękojeść. Rzucili się na mnie koledzy delegata. Broniłem się jak Podbipięta: odcinałem im nosy, ręce, głowy, płatałem brzuchy, krajałem ich na flaczki, lecz konsystencja astralników, wciąż na nowo wyłaniających się z czeluści wagonu, stawała się coraz mocniejszą. Nóż mój grzęznął w nich jak w maśle, potem jak w mięsie, a wreszcie napotkał jakby na kość i zatrzymał się. Chciałem targnąć linkę bezpieczeństwa, lecz setki rąk uwiesiły się u mojej ręki i ściągnęły ją wdół. Astralnicy zaczęli mnie popychać ku oknu i już mnie pochwycili za nogi. Dla mnie miała teraz nastąpić chwila najbardziej interesująca: przekonania się, o ile jestem astralnikiem...

Straciwszy równowagę, upadłem ku poduszce przedziału i w tej chwili dotknąłem ręką otwartej tam jeszcze książki Grabińskiego „Demon Ruchu“. Zmiarkowałem, że astralnicy naraz jakby skonsternowani rzucili się także w tę stronę. Wtedy krótkospięciem domysłów błysnął mi niespodziewany sposób ratunku. Pochwyciłem książkę i zanim astralnicy mi przeszkodzili, przeciskałem ją przez szparę u okna. Przyczepili się do książki, jak pszczoły do ula, ale zdołałem ją wypchnąć nazewnątrz...

Wyleciała, ciągnąc za sobą szereg maleńkich już astralników, spojonych za ręce niby pajace, które dzieci wystrzygają z wachlarzowo złożonego papieru. Z mysim piskiem przeciskały się przez szczelinę: snąc szybkość pędu pociągu była za wielka w stosunku do szybkości ich przemiany z jednych form w drugie, i, bolały ich ramionka, wyciągane ze stawów. Aby przyspieszyć ten proces ewakuacyjny, wyrzuciłem za okno także „Na

wzgórzu róż“ tego samego autora i jego „Szalonego pątnika“ (Nakład Spółki Wydawniczej w Krakowie, 1920). I trzy wieńce astralniczków ciągnęły się od mego okna w ciemną dal nocną, niby białe powoje, a gdy pociąg skręcił, owijały się wzdłuż wagonów, zaplątywały się między koła z coraz cichszą skargą... Stawali się coraz mniejsi, wężsi, wkońcu wywijały się z mego wagonu jak z kokona już tylko trzy białe niteczki, które się jedna po drugiej urywały, spiralizując na końcu jak spalony włos, wymknęły się przez okno, i nie pozostało już nic...

Koło jednej z budek strażniczych zapiał kogut... Podróźni budzili się.

Nazajutrz we Lwowie, opuszczając wagon, zanota-
wałem sobie jego numer — na wszelki wypadek. Te
nieporządki kolejowe stanowczo muszą być usunięte,
choćby przez to miało powstać przesilenie ministerjalne.
Ważną poszlaką po astralnikach jest to, że pieniądze,
które wiozłem z sobą, bardzo szybko się ulotniły.

Melodja Janki

Smukła willa podmiejska, w której konała zgwałcona przez żołnierzy Janka, była dla tych co wiedzieli, przedmiotem zgorzenia. Stara panna zprzeciwka żegnała się, ile razy podnosiła storę od tej strony, skąd wionęło grzechem śmiertelnym, i w jej mniemaniu Janka, chociaż niewinna ofiara, należała do ostatnich; mężatki i matki, przechodząc z dziećmi, spoglądały trwożliwie ku wszystkim oknom willi, bo wydawała im się ona przezroczystem ciałem, nie mogącym w żaden sposób ukryć krwawej rany, bezwstydnie otwartej całemu światu. Mężczyźni, którzy tamtędy szli na wyścigi lub turnieje piłki nożnej, czuli w sobie jakby wyrzuty sumienia, i słyszeli niby krzyk skądś, przenikający niebo i ziemię a daremny.

Pokoik, w którym konała Janka, otworzył się małą szczeliną drzwi uchylonych na balkon, podający się w niebo na wysokości szczytów drzew. Uchylenie było właśnie takie, aby mogła się precyzyjnie dusza Janki, stanąć na poręczy i odlecieć. Tymczasem wchodziły tamtędy swawolnie, po naradzie u drzwi, wonie wiosny, płynące od parku, — walczyły z zapachami jodoformu i cofały się

zwyciężone. I tylko jedna, jedyna, wytrwała na miejscu, wyróżniona i przyciągnięta siłą wyobraźni: nazywała się sentymentalnie Lilijka. Była to ona sama, dziecko, tak nazwane, bo w dniu jej narodzin zakwitł w wazonku niezwykle gatunek lilji.

Rozglądała się po tym pokoju, w którym wszystko było zaczarowane. Na szerokim łóżku, którego tylny przyczółek tworzył ołtarz, leżała Janka tak jak królowa Jadwiga w sarkofagu na Wawelu — rzeźba, rzecz, cicho, nie budzić jej...

Ponad jej głową Boecklina Wyspa Umarłych, a naprzeciw ulubiony zegar wahadłowy, który dla niej tylko chodził i wybijał godziny. Pamiętała go od czasów dziecięcych — był w niej zawsze zakochany. Sama pociągała tego ciężarki i puszczała w ruch duże wahadło z mosiężnym słońcem u dołu. Były tam jeszcze wielkie szafy zwierciadlane, a w kącie siodło i karabin i coś okrągłego, przykrytego ciemnym sukniem. To wszystko istniało tu oddawna, bardzo dawna, znieruchomiałe, powleczone było razem z Janką-Jadwigą popiołem spalającego się jednostajnie czasu. Lilijka wzbijała się ponad łóżkiem jak wspomnienie — pochyliła się nad jej twarzą bladą, z różowemi nozdrzami, na której zadrgały powieki. Więc gdy w świecie tych rzeczy była jedna rzecz, w której mieścił się ból — weszła w nią, zjednoczyła się z nią napowrót, stała się bólem.

Razem z bólem wróciły widziadła codzienności. Siwa głowa ciotki zajrzała przez drzwi z sąsiedniego pokoju i trzęsąc się, wypowiadała jakieś słowa. Aż z tych słów uderzyło w chorą jedno: Olek! który otrzymawszy urlop na jeden dzień, chciał się widzieć z Janką.

Przed tą wizytą chciała uciec, umrzeć — ale on już wszedł, rośły, barczysty, szastając kupionym bukietem,

brzęcząc szablą i ostrogami. Natychmiast jednak uciszył się, gdy zobaczył jej twarz i oczy, wlepione w zegar. Zdawała się nie spostrzegać przybysza. Gdy zostali sami, usiadł opodal łóżka i dopiero teraz uprzytomnił sobie, że nie wie, jak się ma wobec tej sytuacji zachować. Wystękał coś w rodzaju kondolencji i zapewnienia, że to nieszczęście jego uczuć i zamiarów względem Janki nie zmieni, — lecz zmiarkowawszy, że powiedział coś nie stosownego, umilkł i namyślał się.

I teraz między obojgiem wynurzało się i rosło wspomnienie owego wieczoru, kiedy on zastał ją na wsi tylko z dwojgiem rodzeństwa, i kiedy bawili się wszyscy w chowanekę. Wysledziwszy ją w ciemnym kącie wśród sterty jakichś szat, zaczął ją całować nieokiełznanie i szukać czegoś dalej już w jej własnych szatach, aż położył rękę na jej nagie ciało. Zdziwiona i przerażona nie broniła się, dopiero po chwili zaczęła się wydierać i zraniła mu rękę do krwi. Nadejście matki przerwało tę gorącą niespodziankę narzeczeńską. Nazajutrz on przyszedł pożegnać się, bo „szedł na wojnę”. Żartem wskazywał na swoją „pierwszą ranę” i prosił, aby go opatrzyła jak siostra miłosierdzia. Ponieważ było to pożegnanie, uległa jego prośbom i drżąc ujęła go za rękę. Musiała walczyć z sobą, aby nie pocałować rany, — chociaż pociąg ten wydawał się jej wstrętnym, — wkońcu wyjąwszy sobie z włosów czerwoną wstążeczkę, niby owinęła mu skaleczoną rękę tym talizmanem, poczem on uroczyście i po rycersku położył sobie wstążkę na sercu.

Szczegóły tego wspomnienia rozgrywały się między nimi z brutalną niewidzialnością, na moście wzajemnych myśli. Dopiero teraz odczuła Janka okropny wstyd i z jej oczu pociekły wstrzymane łzy. Zerwał się w niej nakaz, aby za wszelką cenę zażądać od niego zwrotu wstążki.

Lecz przewyciężyła się, aby nie wyjawic tego zyczenia, aby wogóle nie zadzwiekło w słowach to, co tu było między nimi najważniejsze. Raczejby mu ją sama nagle odebrała — gdzie ona mogła być teraz i jak mogła wyglądać między mundurem a piersią żołnierską?

Nieznacznie obróciła twarz ku niemu — a na jego mundurze błysnęły medale, rozjarzyły się jak słońca, odtrąciły ją — zuchwałą, na kolana przed nim, świętym i wielkim...

A on, zmylony jej łzami, nachylił się nieco ku niej, pogłaskał litościwie, i mniemając, że chora usypia, wycofał się na palcach.

Wtedy odważyła się już Janka wyrzucić swoje wychudłe ręce w górę. Te ręce, któremi chciała wydrzeć to. Patrzyła z przerażeniem na dłonie bezsilne, mdlejące w popłoch od samego zamiaru obrony, nieszczęśliwe...

Wewnętrzne drżenie trwało dalej i gdy weszła ciotka, aby jej założyć opatrunek, stała się odrazu Jance kimś obcym. Ruchy rąk ciotki były jakby męskie, zniewalające, niezwykle mocne. Powtarzała Jance opowiadania Olka: marsze, postoje, bitwy, zgony druhów... Od innej jakby strony cisnęły się ku Jance wrażenia, już jakby przecież dla niej przeznaczone. Słysząc z nich było tumult i gonitwę, widać było padające trupy — a ponad wszystkim znowu jak złowrogie słońca świeciły medale Olka. Dotyki osoby, która opatrywała Jankę, budziły w niej niepokój — były niby przygotowaniem do czegoś, przed czym należało się mieć na baczności. Bez władną kłódą poczuła się Janka i zasnęła.

Wówczas nadeszła kolej na niebo, działające tu od strony balkonu, i zaczęły się dzieć rzeczy zakończenia i granicy.

Z sąsiedniego parku unosiła się muzyka orkiestralna i trącając falami powietrza, przybiegała aż do Janki, aby opływać jej ciało. Czas pewien kołysała ją do dalszego snu, potem jednak jak zniecierpliwione dziecko rozbudzała ją — niby do trzeciego bytu. Coś znanego lecz dawno zapomnianego przypominało się tkliwiej niż matka. Ostre, zgrzyzcące kawałki rozbitego szkła stapały się w tem cieple i tworzyły dzwonki, które, rozsypując się lekko po świeżej murawie, szeleściły tajemniczymi dźwiękami, zapowiedzią przyjscia melodji, która wszystko zwycięży!

Lecz ciche, osłabione, ginęły na drodze do ukochanej Janki. Głosy z ulicy, kroki, rozmowy, pchały się do pierwszeństwa uwagi. Słuch Janki uczył się przeciskać wśród tych przeszkód; przyciągała ku sobie zabłąkane dźwięki i odratowywała je — ale często zdarzały się nieznosne przerwy, w których nie słyszała nic, prócz tykań zegara i ruchów własnego ciała na śmiertelnej pościeli. Starła się więc być zupełnie nieruchomą i znowu wyłączała tonące dźwięki, raczej się ich domyślając niż słysząc, — pojawiały się one w jej świadomości, jakby przychodziły zamaskowane, uniknąwszy po drodze dziwnych niebezpieczeństw.

Ale i to ustało. Jeszcze raz — i umilkło. Wtedy poczuła się osamotnioną i dopiero poznała, że się zbudziła. Od strony ciała podchodził ku niej ból zaczajony, pewny siebie, którego napróżno starała się nie dosłyszeć. Krzyknęła nagle ratunku i przeraziła się, — zdawało się, że to krzyknął ktoś będący w pokoju. Spojrzała na zegar: wskazywał 20 minut przed czwartą. Ta pora była jej skądś dobrze znana. Zapewne z czasów dziecięcych. Wskazówki na cyfrach 4 i 8 były śmieszne, jak wąsy Tata, pozbawionego oczu. Te wąsy czasem zadrgały

i znowu zwiślały nieruchomo; istota ukryta w zegarze nie dawała się poznać.

Nie było więc w pokoju nikogo i nikt nie wchodził, Nie krzyknęła przedtem i krzyknąć nie mogła. Ten klawisz w niej nie odpowiadał na żaden nacisk. Gorący wstyd czy przeznaczenie wstrzymywało ją, tak że w tym serdecznym uporze zsuwała się na krawędź, ku jakiemuś niebezpieczeństwu. Czekwała, czy kto wejdzie, lecz była nawet dumna, że miała umierać bez świadków. W ostatniej chwili uchwyciła się jednej myśli: o czerwonej wstążeczce. Ona odnalazła się, była tu gdzieś koło niej. Ona sama odnalazła się, ale trzeba ją było odszukać. To było najważniejsze. Kto wskaże jej to miejsce na świecie?

Kto, jak nie tony muzyki, które znowu napływają silną falą, żywe do żywej i żyć mającej! Zupełnie jasno i pewnie prowadzą ją do miejsca zguby. Wstęga melodji odwija się czysta i błyszcząca. Można ją trzymać spokojnie w ręku. Teraz nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Trzymać i śpiewać... Miały w sobie moc niesłychaną, choć mijają szybko. Z zapartym oddechem rozkoszy i obawy śledziła chora to mijanie nieodwołalne. Lecz jak wodospad zbliżał się motyw uroczysty, rozstrzygający, który będzie zapłatą za wszystko...

Podniosła się na łóżku i słuchała z otwartymi ustami, z bijącym sercem. W palcach trzymała i rozsnuwała coś niewidzialnego, coraz szybciej i niecierpliwiej...

Aż nieostrożnie odsłoniło się miejsce zguby...

i nagły huk przeciął jej obcowanie z muzyką. Na drogę wtoczył się wóz ciężarowy.

Wóz ten wyjechał z piekła. Zaprzężony w ogromne kare konie o kosmatych nogach, na każdym kamieniu podskakiwał i spadał, wstrząsając swoją zawartością, a były w nim bryły i skały. Zaszczękały i zazgrzytały

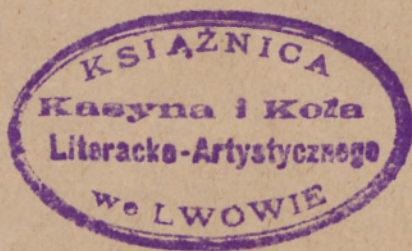
łańcuchy, runęło w niwec przyjazne powietrze, łączące duszę Janki z duszą muzyki i posuwał się coraz dalej huczący mur. Poza tym murem jednak — już, już była ta melodia i chciała się do Janki przedostać. Z pewnością czekała, lecz dłużej już czekać nie mogła...

Janka, gdy nikt jej nie śledzi, wyrwała się ze swojej niepojętej bierności i wybiegła na pomoc. I ujrzała melodję pod kopytami wielkich koni, pod kołami wielkiego wozu. Pękła jakaś skroń, trysnęła krew. Janka rzuca się rozpaczliwie ku miejscu zbrodni, Podstawia palce pod koła następnych czy tych samych wozów, aby wydobyć to czerwone. Słyszy, gdzie ono jest, bierze w ręce, chucha i powiększa słaby dźwięk, tak że melodia brzmi silniej niż łomot rozpadającego się świata.

Jadą na nią i przez nią wozy wojenne, naładowane armatami i żelaznymi machinami wysokości kilku pięt. Cała wojna zwała się w tę ulicę. A Janka krząta się wśród kół i kopyt, jeszcze składa roztrzaskaną melodję i przyciska ją do piersi, w siebie ją bierze, sama się nią staje. Jakże może chodzić tak bezkarnie, choć równocześnie leży stratowana i rozdarta na strzępy? Wszak wozy zmieniły się już w gromadę faunów z kosmatymi kopytami, o żelaznych podkowach, a ich kadłuby to ogromne czworogranne skrzynie z lśniącymi medalami, sieczkarnie, żgające rozżarzone tasakiem. Czerwona wstęga płacze się im między nogami; tańcząc rozerwą ją na niteczki. Gzi się komenda Olka. Janka ucieka, nie ma już ciała, tylko błyszczącą granicę między sobą a powietrzem i w rosnącej do góry ręce trzyma triumfalnie wstęgę na wiatr rozpuszczoną, nie jęczy już, lecz śpiewa, dźwięczy cała jak cudowny instrument, z głębin wyratowanej melodji. Za nią wyje ziemia pod młotami kopyt rozwścieklonych bydła.

Wtedy z zegara wychylił się ukryty tam człowiek: i odpiąwszy wahadło, które było wiosłem, wstąpił na przyczółek łózka. Zakotłosało się natychmiast łodzią obiecaną, — na falach, które były główną prawdą tego pokoju, a obraz nad głową Janki rozsunał swoją perspektywę w bezmierną dal. Wplótłszy ocaloną wstążkę w warkocz, odpływa Janka, słysząc jeszcze, jak wydzwoniła czwarta godzina.

W kwadrans potem znaleziono ją na tem łóżku martwą, we krwi.



Kowadło Morda

Stefanowi Grabińskiemu, twórcy
czarokręgu kolejowego, ten apokryf
poświęcam.

Jedyny pasażer pierwszej klasy, wyciągnięty wygodnie na trzech miejscach przedziału, spał w najlepsze, mimo straszliwego zimna. Światło elektryczne, rzucające nań promienie wprost przez otwór w nadtłuczonym kloszu, nie przeszkadzało mu wcale. Zdawał się martwym. Jego ciężkie buty, zaokrąglone na stopach w dziwaczny sposób, wystawały daleko ponad poduszczykę, o którą niedbale oparł dolne kończyny.

Jednak na stacji w Wylocie wyruszono go z legowiska. Do przedziału weszli ogromni na pozór ludzie, w czapicach, wyglądający jak wielkie pękate wory, zawiązane wysoko. Lecz gdy zrzucili sute szuby, ukazali się w zgrabnych futerkach, a potem z futerek wykluli się smukli młodzieńcy w sportowych ubraniach. Za nimi posługacze wnieśli mnóstwo tobołów: bogate nesesery, skórzane walizy, torby, lornetki i strzelby w futerałach.

Dotychczasowy dzierżyciel przedziału wstał niechętnie i siadając pod oknem, spuścił nogi na podłogę z tak nie-

spodziewanym i sensacyjnym hukiem, jakby były z ołowiu. Przybyli, krzątający się około zapłacenia posługaczy, wzdrygnęli się na chwilę i spojrzeli w tę stronę. Nie zauważywszy jednak potem nic szczególnego, przystąpili do dalszego urządzania się w przedziale.

Gdy pociąg ruszył, niebawem cały przedział został futrami niby wytapetowany. Zamiast czapic nasadzili młodzieńcy na głowy sportowe kaszkiety, wyjęli z walizek termofory i flaszki z wódką, Mercure de France i parę humorystycznych czasopism polskich. Zajądając i popijając, pykając z krótkich fajeczek, rozmawiali o polowaniu, z którego właśnie wracali.

Człowiek z hałaśliwymi butami zapalił sobie tymczasem cygaro. Stercząc z malutkich ust, uwydatniało ono komicznie owal jego twarzy, pozbawionej zupełnie zarostu, podczas gdy w ustach promieniami nieprzyzwoicie zbiegały się pokarbowane fałdy warg. Obojętny na rozmowę współpasażerów, oparł głowę na jednym z ich wykwinionych futer i niebawem zachrapał, skrzypiąc przy tem jak miech. Z otwartych ust wypadło mu zgaste cygaro, owisła dolna warga odsłaniała nader liczne białe zęby.

— Patrzcie, patrzcie, coś mu wisi z gęby! — zauważył jeden z młodych ludzi.

— Kawalek czerwonej nitki! Suchotnik, czy Bóg wie co! Panie, panie, usuń no się pan od mojego futra!

„Bóg wie co“ odsunął się i skłonił głowę na drugą stronę. Prawą nogę wyciągnął przytem na siedzenie przed sobą i przygniótł je niemiłosiernie. Współpasażerowie obserwowali przez chwilę jego nieforemny but, lecz nie rozczulając się tem zbytnio, wnet wrócili do swojej rozmowy.

— Gdyby nie twoja starcka, Jules, byłbym musiał użyć innego środka na rozgrzewkę — rzekł najstarszy,

najwyższy i najtęższy z myśliwych, łypiąc oczyma w stronę nieznanego.

— Rozumiem cię, Jean! — odrzekł tajemniczo Jules, chudy lecz żyłasty efeb.

— Zapewne masz na myśli bicie w pysk — wypaplał niedelikatnie trzeci, zwany przez tamtych François, najmniejszy z nich, lecz zato należycie czupurny.

— Ja nie biję w pysk z zasady, tylko gdy potrzeba — skromnie eksplikował swoją naturę Jean.

— Nie z zasady, tylko z przyzwyczajenia — pochlebiał mu Jules.

— Nie z zasady, tylko z frontu? — dodał dowcipnie François, pełen uznania dla Jeana. Właśnie palcami, tkwiącymi w rękawiczce, rozrywał Mercure de France.

— Ile razy biję w pysk, przez dwa dni potem żałuję, ale cóż, taką mam ciężką rękę a w niej świąd. A biłem już siedem czy osiem razy. Tego, co było przed dwoma dniami — o czem wiecie — nie liczę. Cała służba, każdy robotnik, wszystko jest teraz u nas zdenerwowane, i tylko go o co poprosisz, a on zaraz ni stąd ni zowąd głos podnosi: Czy pan myśli, że ja tu dla pana? Pan wie, ile teraz chleb kosztuje? I tak dalej. Lepiej trzeba go było za złośliwe uszkodzenie cudzej własności oddać w ręce policjanta.

— Nic nie szkodzi, niech chamy nie myślą sobie, że tylko oni mają pięści. Hołota by się zanadto rozwydrzyła! — uspokajał François ewentualne skrupuły Jeana.

— Ale powiem wam, jak to ja kiedy indziej bijałem po mordzie. Naturalnie nie liczę tego, co było przy wojsku — to sami wiecie, że każdy oficer musi bić po pysku, na to niema rady, niech sobie socjaliści o tem co chcą gadają. Ale opowiem wam, jak to się dla mnie zaczęło, jak to było po raz pierwszy...

— Kiedy się rozdziewiczyłeś pod tym względem! — pomógł Jules.

— Właściwie zaczęło się to jeszcze dawniej, kiedyśmy wojowali z andrusami po przedmieściach...

— Chodziło się z bokserem...

— Bokserem huknąć kogo w pysk, to padam do nóg!

— Otóż była wtedy wielka reduta. Ja byłem przebrany za pierrota. Po dwunastu kieliszkach założyłem się o flaszkę szampana, że w ciągu godziny zrobię jakąś awanturę aż miło. Jaką, sam jeszcze nie wiedziałem. Kręcę się po sali, a tu już trzy kwadransy minęło. Za mną Zdzych, Stach i inni świadkowie zakładu. Co tu robić? Całowałem i ścisnąłem maski, ale to świadkom nie wystarczało. Nareszcie się jednej dorwałem, która szła pod rękę z kozakiem. Zaczepiłem nie ją, ale kozaka, krzyknąłem nań zgóry po rosyjsku: Brat, broś etu płot'! Wybałuszył na mnie oczy i zaczyna mi coś perswadować — po polsku. Pasja mnie porwała. On — po polsku! A właśnie reflektor, ustawiony na galerji, rzucał na salę gamę różnych światel: zielone, czerwone, żółte, i nagle na krąg, w którym staliśmy krzycząc, padło światło fioletowe. Wtedy jakby na sygnał lupnąłem go w pysk, i jemu zapewne stało się przed oczyma ultrafioletowo. Komedja to była nielada, bo w tej chwili także muzyka się wdała, zacząwszy grać: Boże wspieraj, Boże ochroń... Niespodziewanie awantura przybrała charakter polityczny, bo było to przed wojną. Na sali zaczęła się bitwa, ale goście chcący tańczyć wyrzucili ją do sąsiedniego pokoju. Guzy oberwała jedna i druga strona, aż wkońcu wyjaśniło się wszystko przy kieliszkach mojego wygranego szampana.

— Czy to był kozak autentyczny? — spytał niedomyślny François.

— Ojej, jaki ty jesteś... przecież ci mówiłem, że to była reduta.

— Mnie raz na balu lepiej poszło — opowiadał Jules korzystając ze sposobności wspomnień balowych. W sąsiedniej sali restauracyjnej siada naprzeciw mnie bogacz taki, co to wiecie... jak ja mam dwa guziki u koszuli, to on ma trzy dziurki, a w każdej brylant, za który mógłby kupić mnie razem z moim ojcem i babką. I mówi do mnie po pijanemu: *Możebyśmy zatańczyli cake-walka?* A ja do niego: *Możebyśmy zatańczyli majufes?* Zcierwieniał mój bogacz, pochyla się ku mnie i ochryplym głosem pyta: *Co? co? czego pan sobie życzy?* — *Życzę sobie dać panu w mordę* — odpowiadam i chlasnąłem go po nosie. On rzuca się na mnie, rycząc jak wół, — wtedy poprawiłem i chłopczyk był wnet gotów. Zwalił się pod stół i stamtąd krzyczy: *Pan mi zapłaci za cwikier!* Teraz kelnerzy rzucili się na mnie, — zapewne dawał sute napiwki — ale ja natychmiast puściłem w ruch swoje kulaki młynkiem boksowym... no, i wycofałem się w porządku. Potem ciągnęli mnie po sądach, ale to już do rzeczy nie należy. Za cwikier zapłaciłem. Ale zresztą z zasady nie biję nigdy tak, żeby aż puszczać komu farbę z nosa.

Tu zauważyli, że pasażer, który dotychczas niby spał pod oknem, obudził się już i przysłuchuje się rozmowie. Kawał z cwikiem pokwitował krótkim śmiechem, podobnym do szczekania pincza. Następnie pokazał nagle jedną swą łapę podobną do pletwy, o barwie brązu, i oparł na stoliczku pod oknem tak ciężko, że deska aż zatrzęszczała. Właściciele pięknych futer z pełnem uznania znanstwem przypatrywali się tej dłoni, do której wnet się przyłączyła druga taka sama. Obie były zajęte rozdra-
pwyaniem śniegu, pokrywającego szybę, poczem zniecier-

pliwiony pasażer jednym silnem chuchnięciem oczyścił dużą przestrzeń szyby i badał okolicę, która podczas jazdy mijała wstecz pociągu.

— Panowie nie wiecie, czy był już Rozporek? — zapytał.

— Nie było jeszcze, będzie za kilka stacyj.

— A to mam jeszcze czas!

Obie jego ręce były teraz widzialne ogółowi. W milczeniu konstatawali ich istnienie trzej budrysi, niewiadomo, czy z obawą, czy z zazdrością, wyliczając sobie zapewne w duchu, ile pyskobić możnaby wykrzesać z takich rąk jak z rogu obfitości. Wreszcie Jean zabrał głos znowu, tym razem podnosząc go i akcentując słowa, zwrócone jakby w stronę nieznanego.

— Ja się nieco inaczej zapatruję na bicie w twarz do krwi, ale i ja już wiele razy spardonowałem. Mimo pozorów nie jestem zabijaką z natury. Ale jak na mnie przyjdzie chwila, to choćby to był sam Cyganiewicz czy filar betonowy, dostanie w mordę.

— Nawet filar betonowy dostanie w mordę! — powtórzył szybko François, nadając tym słowom znaczenie jeszcze wyraźniej ostrzegające.

Jegomość pod oknem „śmiechoszczekną“, a potem jakby się zmieszał lub zawstydził, bo schował łapy, — lecz niebawem wyjął je znowu nawierzch i zaczął niemi wykonywać podejrzane manipulacje na swojej głowie, skrobiąc się w nią co chwila w stronę wspaniałych futer.

Jean ostentacyjnie odgjął futro z pobliza skrobiącego się indywiduum, dał wyraz obrzydzeniu, spluwając zgrabnie przez zęby na podłogę, poczem kontynuował swoje wspomnienia głosem stanowczym i groźnym.

— U mnie tylko raz skończyło się pojedynkiem. Miałem spór z pewnym oficerem, którego nazwiska wam

nie wymienię, i zanosiło się na to, że albo on mnie uderzy w twarz albo ja jego. Wybrałem to ostatnie i aby go uprzedzić, sam poszedłem do niego pod jakimś tam pozorem. Zdziwił się bardzo, siadł okrakiem na krzesło i zaczyna na mnie miotać temi wszystkimi obelgami, które mu się nazbierały na wątrobie. Ja czując, czem to się ma skończyć, palnąłem go z całej siły — a był to chłop morowy, wyższy i silniejszy ode mnie. Porwał się, ale uwikłał się w szablę, poprawiłem mu i wyniosłem się natychmiast. W pojedynku on dostał po rękę, ja pod ucho i tak się sprawa honorowo zakończyła. — Panie łaskawy, nie zbliżaj się pan do mojego futra, to nie poduszka! Najprzód pan się skrobie, potem pan się wyciera w nasze futra, kto pan jesteś?

Ten z pod okna zadziaukał znowu.

— Podobna rzecz i mnie się zdarzyła — homeryzował teraz koleś Jules. — Pokłóciliśmy się o mojego psa, który obszcze kiwał utrzymankę mego przeciwnika. Choć był ogromny jak atleta, kałatnąłem go w głowę tak, że zgłupiał i — czy uwierzycie? zamiast mi oddać, stchórzył i uciekł, a potem zaskarżył mnie do sądu. Przychodzi do rozprawy, a sędzia woła do mnie: niech oskarżyciel tam siada!.. a do niego... niech mi oskarżony powie... Ależ panie sędzio, to pomyłka! — Co, pan jest oskarżycielem? — dziwi się sędzia i... phuuu! — wybucha śmiechem, a razem z nim adwokaci, świadkowie i cały prześwie tny trybunał. I jeszcze kilka razy sędzia tak się pomylił i phuuuu! trząsł się sąd od śmiechu.

— Ciekawym, jak ten olbrzym usprawiedliwiał swą bierność? — pytał François. — Że też się nie wstydził...

— Cóż zrobić, gdy kto tchórz... On się skarżył, że został przeze mnie napadnięty „znie nacka i podstępnie“—

jak się wyraził jego adwokat. Skazano mnie wtedy na trzy dni aresztu z zamianą na 50 koron.

— To bardzo tanio!

— Ja to samo powiedziałem, wysłuchawszy wyroku. Sędzia upomniał mnie, ale ciągle trzymał chusteczkę pod nosem, śmiejąc się.

W śmiechu z pod okna dosłuchali się przyjaciele tym razem jakby warczenia.

— Teraz ten facet jest trupem cywilnym! — dodał melancholijnie Jules.

— Ja z zasady — pouczał Jean — jeżeli biję w twarz, to już mocno, ażeby nie mieć potem dalszych konsekwencji. Nie rozumiem takiego bicia, jakie urządził ten poseł, który chciał skarcić jakiegoś redaktora. Wziął sobie świadków, wpadł do redakcji, zaledwie dotknął redaktora w brodę czy w wąsy i zaraz uciekł z świadkami, aby co tchu zawiadomić inne redakcje o swoim bohaterskim czynie. Potem jeszcze chodził po ulicach jak triumfator. Takie głupie bicie nie jest w moim guście. Jak bić, to już z odpowiednim rozmachem, całą dłońią, albo jeszcze lepiej kantem, i nie pod ucho, ani pod nos, ani w kark, tylko akurat w mordę.

— To jest szkoła klasycznego pyskobicia — przytwardzał z podziwem François.

— I zapewniam was moi drodzy, że w większości wypadków pyskobicie kończy się korzystnie dla tego, który zaczyna. Przedewszystkiem wzbudza respekt u przeciwnika. Co do tego, to opowiem wam jeszcze taki epizod — a było to również już dawno. W teatrze siedział przede mną jakiś jegomość z długimi włosami, niby artysta, i ciągle coś szeptał do ucha swojemu towarzyszowi. Przeszkadzali mi, psykałem na nich, mówię: panowie, cicho! Podczas przerwy zbliża się do mnie ten artysta

i pyta: Do kogo pan mówił „cicho“? — Do pana. — Jakim prawem? Czy wiesz pan, kto ja jestem? — To mnie nic nie obchodzi, pan masz cicho siedzieć. — Od słowa do słowa, przekomarzaliśmy się, kto ma stulić pysk, aż zastosowałem pyskobicie. On się uczeplił mego gardła, rozdarł mi krawatkę, zaczęliśmy się szarpać, rozjęto nas, wymieniliśmy bilety. Na drugi dzień czekam napróżno sekundantów. Wieczorem miałem posiedzenie jakiegoś komitetu w moim pokoju, i pomyślcie sobie, ku mojemu najwyższemu zdumieniu, wchodzi także ten artysta. Ja witam go jako gospodarz, i zaproponowałem go potem na wiceprezesa. Zawarliśmy miłą znajomość i właśnie niedawno spotkałem go znowu w teatrze: siedział już ze swoją żoną o kilka miejsc przede mną i podczas przerwy podszedł do mnie, uśmiechnięty z zapytaniem: Czy pana to może jeszcze denerwuje, że przed nim siedzę? — O, bynajmniej, niech pan będzie łaskaw nie krępować się!.. Ale niechno pan się trochę krępuje i nie dotyka mego futra.

— Ja także doświadczyłem tego samego — wytajemniczał się Jules. — Miałem raz romansik z niewiastą, której mąż, obskurna figura, był ogromnie zazdrosny i ciągle nam przeszkadzał. Aż raz przy sposobności grzmotnąłem go w twarz i to mu tak zaimponowało, że odtąd nie zawadzał mi zupełnie, wynosił się dyskretnie, ile razy mi było potrzeba... Co ten pan u licha ma w głowie? Biedronki?

Tu człowiek z pod okna zwrócił się nagle w stronę François i warknął:

— A pan?

z miną tak suggestywną, że François odrazu zrozumiał, iż teraz kolej na niego rzucić na ekran swoje pyskobójcze przygody.

— Nie mam jeszcze takich trofeów jak wy, ale już zacząłem niezgorzej. Niejaką praktykę mam jeszcze z czasów gimnazjalnych, kiedy dawałem się we znaki żydom w święto Hamana. Tak dobrze mnie znali, że gdzie tylko była ich większa kupa, a ja wynurzyłem się na horyzoncie, przylatywał do nich czujny stróż i wołał: Leszczyński gajt! i zaraz rozprasała się cała czereda. Ale potem mam na sumieniu jeden policzek przykry: wymierzyłem go po maturze profesorowi od filologii klasycznej za to, że mnie wciąż sekował. Biedny człeczyna, podobno tak sobie to wziął do serca, że podał się na pensję, a nawet się rozchorował.

Na tem skończyła się narazie wspaniała serja pomordobitych trupów cywilnych i nastąpiła pauza, którą nieznajomy podkreślił, szurgając nogami po podłodze i robiąc rękami gesty takie, jakby miał zamiar wstać i coś przedsięwziąć.

Młodzi ludzie porozumieli się wzrokiem i wyszli na korytarzyk.

- No, cóż zrobimy?
- Przecież nas rozmyślnie drażni!
- Ale pociosmy właściwie to wszystko opowiadali?
- Jak przed księdzem na spowiedzi!
- Co jego to wszystko obchodzi?
- To ten cham swoją bliskością wypatroszał nas ze wspomnień!
- Ciekawym zobaczyć, pocios ta czerwona nitka, która mu wisi z gęby!
- Buch go w twarz!
- Buch go w pysk!
- Buch go w mordę!
- Buch go w mordę! powtórzyli wszyscy trzej unisono i śpiewnie jak w dramatach Rostworowskiego.

— Chyba we trzech damy mu rady!

— Na wszelki wypadek w otwartej torebce mam niemiecki kastet plebiscytowy.

— Tylko z zimną krwią panowie! — upominał jeszcze Jean — nie dajmy się niepotrzebnie sprowokować.

Weszli napowrót do przedziału. Człowiek z pod okna spojrzął na swój zegarek, potem wyegzaminowawszy jeszcze raz szklanem spojrzeniem towarzyszy podróży, zagadnął ich w ten sposób:

— Dotychczas słyszałem tylko o tem, jak panowie dawali w mordę, a teraz chciałbym się dowiedzieć, czy który z panów już brał w mordę?

Wszyscy trzech powstali odrazu, kipiąc oburzeniem i zaciskając pięści. Uspokoił ich łagodnym ruchem wielkiej łapy, wykonanym w powietrzu.

— Proszę mnie nie rozumieć mylnie, moi panowie. Ta kwestja interesuje mnie teoretycznie i statystycznie, bo napisałem memorjał do Wysokiego Sejmu, żeby ustanowić jeden uroczysty dzień w roku, w którymby wszyscy mogli załatwić odroczone tudzież bieżące pyskobicia.

— Pan nie jest zwolennikiem policzkowania? — podjął dyskurs Jean. — Czy pan nie miał jeszcze nigdy w życiu sytuacji, w której pan widział, że jedynym wyjściem jest uderzenie w twarz? Ale przedewszystkiem, gdy dżentelmeni z sobą rozmawiają, choćby nawet w podróży, powinni się sobie przedstawić. Moje nazwisko — Popiel.

— Moje Leszczyński! — rzekł François.

— Już słyszałem — potwierdził obcy, zwracając się kolejno w stronę Juljusza.

— Moje Wiśniowiecki!

Poculi dotknięcie łapy nieznajomego, które jednak było tylko zimne i ciężkie, lecz nie gniotące.

— Moje nazwisko — rzekł — jest nieco trudne do zapamiętania, dlatego wręczam panom swój bilet wizytowy — lecz broń Boże, nie wyzywam nikogo na pojedynek.

Pochylili się ciekawie nad ozdobną dużą kartą, podobną raczej do ofert firm handlowych, i wyczytali nazwisko:

Val Codo d'Amor.

— Wcale pan do amora nie podobny — zauważył Jules.

— Trafnie pan powiedział, i to mnie właśnie martwi — mówił Val Codo z olśniewającą dobroduszością. — Bo nie chciałbym z nikim wejść w zatarg, któryby się mógł skończyć tak paskudnie. Ja jestem właśnie akumulatorem miłości... ale to nie należy do rzeczy. Wracając do rzeczy: Czy nie zauważyli panowie, że teraz cała Polska od Gdańska do Śniatynia pierze się po pyskach i że należałoby coś nareszcie z tem zrobić?

— Czy pan myśli, że to tylko u nas? Na całym świecie panuje ten zwyczaj.

— Ach, ja nie pragnę usuwać tradycyj narodowych, przeciwnie, przeciwnie... Przecież nasz wieszcz Sienkiewicz opowiada, że polski Pan Jezus praskał śmierć po pysku. Ale zdaje mi się, że zawsze tam, gdzie jedna strona bije w mordę, musi być druga strona, która bierze w mordę. To przecież jasne. I to branie w mordę jest bardzo ważne...

— Aha, pan jest filantropem — szydził uspokojony już Jules. — Myśmy też zaraz przeczuli w panu coś niby księdza; gdy pan tak siedział wtulony w swój fotel, wyglądał pan jak spowiednik w konfesjonale.

— Bo też ja istotnie pochodzę z rodziny księży, jestem prawnukiem ks. Baudouina, tego, co to, jak panowie wiedzą, nadstawił drugi policzek. Musi być podział pracy.

— Ale niechże pan nam teraz wyjaśni, co to za nitka, którą pan ciągle żuje w ustach?

— Ach, to jest ta czerwona nić tradycji, o której wciąż piszą dzienniki.

— A skąd się pan nabawił tej wszawicy?

— O panowie, moja głowa, to nie bylejaka głowa! Gdzie się ta głowa nie poniewiera, gdybyście panowie wiedzieli! Po szynkach, po kawiarniach, po koszarach, po wiecach, po szkołach, po balach, po domach prywatnych...

— Bywalec z pana! Ale niech no nam teraz pan opowie jaką anegdotkę!

Val Codo żywo wstał ze swego konfesjonału i przesiadłszy się naprzeciwko na środkowe miejsce tuż obok Julesa, jął opowiadać:

— Jak panom wiadomo, jadę do Rozporka. To jest miścina nie duża, ale już głośna. Tam bowiem żyje pewien człowiek... pewien człowiek...

Tu położył poufale jedną dłoń na kolanie Juljusza a drugą na kolanie Jana i mówił dalej z fanatyczną ekstazą:

— Albowiem jeszcze większą rozkoszą, proszę panów, niż bić po mordzie jest — brać w mordę!!

Nachylili się ku niemu ponuro i zagadkowo.

— Tego właśnie człowieka w Rozporku wszyscy biją po mordzie: starosta, dyrektor seminarjum, generałowie i oficerowie, pocztmistrz, ksiądz pleban, zwykli obywatele, nawet Żydzi i dzieci. Bo, proszę panów, on ma twarz, która — jak się to mówi — sama się prosi, aby ją bić w mordę. On ma twarz — ot taką!!

Twarz jego, która już od paru chwil dziwnie się mieniła, ustaliła się wreszcie w kształt potwornej dyni, jednak o cerze nadzwyczajnej, posiadającej urok dojrzałego jabłka, lub świeżej brzoskwini. Rurką hermafrodytycznych ust dmuchał na trzech budrysów kłębami zimnego powietrza, wydymając przez to jeszcze bardziej swoje

nabrzmiące policzki. Oczy zanikły mu prawie na tym globusie, ale świecił ich wyraz kuszący i złośliwy.

W milczeniu mijały sekundy. Młodzieńcom tłukły się serca.

— Czy panowie nie czują — spytał jeszcze Val Codo, cedząc słowa, — że tu jest cokolwiek za zimno? Czy nie wartoby uczynić coś dla rozgrzewki?

Warknął, zatarł ręce przed nosami trzech towarzyszy i popluwając w dłonie, gotował się jakby do jakiejś roboty.

Pierwszy ocknął się François.

— Wal w gębę, kto w Boga wierzy! — zawołał.

— Buch w pysk! — przytwierdził siarczyście Jules.

— Buch w mordę! — zdecydował poważny Jean.

— Buch w mordę! — powtórzyli unisono jak w dramatach Rostworowskiego.

Uroczyście zdjęli rękawiczki.

Pierwszy odwinął się Jean i z ogromnym rozмахem lunął w piękną cerę pana Val Codo d'Amor. Z drugiej strony łupnął go z całej siły w oblicze Jules.

— Teraz ty mały! — rzekł prawnuk ks. Baudouina, wskazując na François.

Ten nie dał się prosić, wlaź na fotel i pięścią wyrznął potwora w sam ryj.

Jean walił w cyferblat, Jules huknął go po fizjognomji, François wyrównał z drugiej strony, rypiąc go w papę.

Następnie Jean pomacał go w jadaczkę, Jules strzelił mu w jaszczyk, a François zamalował go w paszczkę.

— Zaczekajcie panowie chwilkę — rzekł niezrównany obiekt pyskobicia — zrobimy porządek z zębami.

I pociągnawszy za czerwony sznureczek, wystający z ust, rozdziawił je jak mógł najszerzej. Z ust posypały się na ziemię wybite zęby, nakształt ryżu wysypującego się z dziur torebki powojennej.

Po tej operacji przystąpiono do dalszych rękoczynów. Zaczął na odmianie François: głośnął widziadło mocno po buzi; pośpieszył mu z posiłkami Jules i trzasnął to lichu w ordynarny jego visage; zakończył Jean i gruchnął je w plugawe lice. Następnie już bez kolejki łomotali człowieka rażno w portal, psuli mu jego facjatę, zajeżdżali mu pięściami w bramę, kropili go w telefon, wlepiali mu apuchtiny, łaskotali go po gębuli, tłukli go w makutrę, i bęc, i bęc, łup, łup, szast, szast, bili go w mordę od ucha do ucha. Razy szły coraz rażniej, jak hepanie cepów na klepisku i coraz częściej nieznajomy pociągał za czerwony sznureczek, aby wypluć zbyteczne już zęby.

Ale w miarę swego rozjuszenia trzej sojusznicy czuli, jak morda Val Codo coraz bardziej twardnieje i przyszła im jedna i ta sama złowroga myśl:

— Beton!!

Wstrzymali się na chwilę i spojrzeli na siebie wzajemnie, jakby po to, żeby się znowu porozumieć. Ale Val Codo nie dopuścił do tego. W chwili wolnej od brania w mordę, gęba jego rozszerzyła się nagle w śmiech szeroki jak u księżycy w pełni, i coś zaryczało w nim, dudniąc triumfalnie, w piersiach, w brzuchu, aż do nóg. Tego nie mogli wytrzymać i jakby magnetycznie przyciągnięci, bili go dalej po mordzie, automatycznie, opadając z sił i podwajając swe siły. Bili go pięściami i kantami dłoni już bez wyboru, po gębie, po głowie, w uszy, w kark, walili go we wszelkie walory jego przypuszczalnego ciała — a wszędzie znajdowali mordę!!

Aż im dłonie popuchły, a zza paznokci pokazała się krew...

Val Codo zaś rozpart się wygodnie na fotelu, ujawszy się łapami za wydatne uda, które odpowiednio rozszerzył.

Odpadli od niego jak opite pijawki i odpoczywali, dychając ciężko.

On zapalił cygaro i czekał litościwie. Poczem jednak wyjął zegarek, zafrasował się i zagasiwszy cygaro, rzekł:

— Dojeżdżamy już do Rozporka; jeżeli panowie mają jeszcze trochę skorzystać, nie można zwlekać. Panowie już cokolwiek odpoczęli... Nuże, buch go w mordę!

— Buch go w mordę! — odpowiedziała zrozpaczo-
nym szeptem nieszczęsna trójka i dźwignęła się jakby na rozkaz. Pomału jednak weszli znów we właściwy rytm, ale ręce nie trafiały już porządnie w cel, ślaniai się na nogach, wzrok ich zamglił się, aż stała się rzecz straszna:

zrazu przez pomyłkę, potem z coraz większym roz-
wścieczeniem zaczęli się wzajemnie między sobą prać i prażyć po mordach, odczuwając to jakby ulgę po nie-
naturalnej operacji, dokonywanej na bałwanie. Wleźli mu na kolana jak niesforne dzieci, szczypali i drapali się po twarzach, targali się za włosy, darli na sobie krawatki a z pięknych futer leciał wyskubany puch...

— Rozporek!

Pociąg stanął nagle, szum i zamęt w głowach ustał a zmęczona trójka zapragnęła naraz snu. Val Codo zrzucił ich na kanapki, obmacał każdemu ubranie i wycią-
gnąwszy ich portfele, oznajmił:

— Jako honorarjum biorę sobie od każdego z panów tylko ekwiwalent dwóch dolarów po kursie urzędowym. Bardzo tanio a rzetelnie zapracowane. Reszty nie tykam.

I ciągnącemi krokami jak kaleka wysunął się powoli z przedziału. Pociąg stał jeszcze. Zwycięzeni zwycięzcy, odegnawszy sen, całym wysiłkiem woli rzucili się za nim na korytarzyk. Już go nie było. Otwarli okno, patrząc

z wytężeniem w czarne zwały nocy, naładowane pod dachem peronu.

Jacyś posługacze wieźli coś na dużych taczkach. Był to czworogranny przedmiot kształtu szafy. Ktoś szedł przodem, niosąc pod pachą jakąś dużą kulę zawiniętą w szmaty.

— Czy odśrubowałeś mu łeb? — zapytano ztyłu.

— No, a jakże! Przykryjcie go teraz pokrowcem, aby się nie poziębił, wiecie, że niedawno miał zapalenie nerek.

— Nasmarowany wewnątrz oliwą!

— A więc jazda!

— Jazda! — zawołał także konduktor pociągu i dalsze zajścia na peronie w Rozporku pogrążyły się dla trzech młodych ludzi w paszczy niewiadomego.

Wrócili do przedziału i wśród sterty porzrzuconych futer szukali gorączkowo jakiegoś biletu wizytowego.

Wreszcie go znaleźli i podnosząc wysoko ku lampie, słabym wzrokiem wyczytali napis odmienny niż ten, który im został w omylnej widocznie pamięci. Napis głosił:

KOWADŁO MORDA

prawnuk księdza Baudouina
automat do bicia w mordę
wynajmuje się obywatelom

Rozporek, ul. Długie Uszy 1. 44.

Teraz poszukiwali jeszcze czegoś na ziemi, skąd łśniło ku nim kryształową bielą. Dotknęli podłogi, rozcierali to coś między palcami... był to świeży śnieg.

— Skąd się tu wziął? — mruknął Jules. — Czyżby przez otwarte okno?

François udawał, że już śpi.

- Zdaje się Julku, że dostaliśmy od kogoś w...
E, do diabła, co mnie to obchodzi! — szepnął Jean do
siebie, zasypiając. Dobranoc, chłopcy! — dodał głośno.
— Dobranoc Jasiu! Buch...
— Buch...
— Et, stulcie pyski i śpijcie.

Pyriphlegethon

czyli

Niepokalane poczęcie

(Prolog do dramatu)

Chociaż Osia już od kilku dni leżała pod ziemią, jej rodzice nie stracili jeszcze nadziei. Nie wierzyli w śmierć, tylko wiedzieli o niej. Ciągłe się im wydawało, że taka poważna potęga byłaby się wstydziła zabijać naprawdę takie małe dziecko. Zachowywali się tak naiwnie, jak może niegdyś Adam i Ewa, gdy ze zgonem Abla śmierć zagościła na ziemi. Spełniając czynności wyznaczone rutyną życia, nadśluchiwali. Wyobrażali sobie Osie, żebrzącą litości gdzieś na skraju światów, żywą najgorszym życiem. Że uwięzła jakoś pod krawędzią przepaści, że zsuwa się, lecz jeszcze nie spada. Bez porozumienia się z sobą wiedzieli, że jedynie ich myśl może ją tam zatrzymać czas jakiś. To było pewnem, że jeżeli żyje, to przedewszystkiem rozpaczą ich dusz. Dusze ich musiały się stać nieustannie pracującymi stacjami nadawczymi zagrobowej telepatji. Zasycały się trucizną nieskończonych rozpamiętywań. Waclaw i Ludmiła teraz dopiero mogli wyczuć i wykosztować grozę i ból wielu momentów jej choroby. Rzeczy, które wówczas wytrzymywali, teraz wydawały im się przerażające. Jak mogli, jak śmieli wytrzy-

mać. Demoniczne były te zmiany wewnątrz jej ciała, których się wówczas musieli domyślać. Lecz jeszcze teraz, gdy ze zbliżaniem się jesieni nastąpiła pierwsza chłodniejsza noc i śłota, żal ścisnął ich serca na myśl, czy dziecku tam w grobie nie będzie za zimno, i wstyd, że je tak szczupło wyekwipowali.

Wobec choroby i śmierci Osi życie zewnętrzne było nudne, anormalne i przykre. Było czemś, co po kawałku odbierze i zniszczy jej pamięć. Ten piasek, zasypujący jej najdroższe ślady, przynosił zwłaszcza stary ojciec Ludmiły, który obok nich mieszkał. Słyszeli nieraz jego kroki za ścianą, należące do innej może, do jego własnej tragedji. Gdy jadał u nich, starał się ich niby to pocieszyć:

— Ja się tego domyślałem, że tak będzie, kiedy ja ostatni raz widziałem. Musiała umrzeć, mogę wam na to przytoczyć przykłady z mojej praktyki lekarskiej. Nie macie sobie nic do wyrzucenia.

Każde z tych słów było wydzieraniem. Myśleli sobie ponuro oboje to, co nieraz: Czemu raczej ty nie umarłeś? On jakby wyczuł, bo rzekł:

— Każdemu sądzono. I ja już niedługo pociągnę. Jesteście parą warjatów. Ale czy słyszeliście o najnowszym bankructwie? Czytaliście, że zanosi się znowu na wojnę? Gzyms obsuwający się zabił dziś listowego, a ja kilka razy na dzień tamtędy przechodzę.

Odszedł nareszcie. Milezeli. I gdy się już uspokoiło i oczyściło rozedrgane jego gadatliwością powietrze, spojrzeli sobie w oczy po raz pierwszy od tych zdarzeń, obco i nieubłaganie.

— O czym myślisz?

Myślała, jak wiatr gasi samotność świec dopalających się na grobie, lecz nie powiedziała mu tego.

— Tak dłużej być nie może. Musimy się naradzić.

Drgnęła bezsilną nadzieją.

— Tak, naradzić.

— Ale trzeba zamknąć drzwi, żeby ten nie wrócił.

— Zawsze teraz zamykam drzwi we dnie. Ale na noc — nie mogę.

— Ōhydny jest ten szablon śmierci. Ōhydny jest to, że także inni ludzie umierają. Także listowy! Słyszałaś? Że grób Osi jest zapisany w katalogu cmentarnym, a jej śmierć jest jednym z numerów statystyki śmiertelności dziecięcej.

— Mnie to obojętne.

Pomimo wspólności losu różnili się w sposobie, w jaki do niego przywarli. Miał jej już za złe tę zgodliwość, wtem spostrzegł coś:

— Dla kogo kupiłaś wczoraj te winogrona?

Stały nietknięte na miejscu najdroższem. Zawstydziała się — błysnęła ku niemu łzą wyrzutu. Wtedy powtórzył to samo zdanie szeptem, już bez pytajnika.

Milcząc, podsunęła mu talerzyk z tym owocem. Skubnęli go oboje dyskretnie jak komunję.

— Czas mija! — rzekł.

Zrozumiała go.

— Ta cisza z tamtej strony! — dodał.

— Ja śnię o niej codziennie — zaprzeczyła.

— Ja nigdy! Trzeba coś przedsięwziąć... My, rodzice...

— Aż za dużo było przedtem...

Jak za lekkomyślnym naciskiem sprężyny wywołała znane tylko obojgu wspomnienie koniecznych krzywd, zadawanych dziecku gwoli jego wyzdrowienia. Ich oczy z pokorą, świadomą już innego rzeczy porządku, zwróciły się razem w stronę łóżeczka dziecięcego — niedawnego ołtarza boleści.

— Wierzysz w Boga?

— Wierzę! — odrzekła.

Na to nie miał nic do powiedzenia. Tu się mijali. Więc zaczął z innej strony:

— Trzeba ratować przynajmniej wspomnienia. Rozpraszają się. Nie starajmy się od nich odrywać, to i tak samo przyjdzie. Musisz spisać inwentarz, który się został po Osi.

Usłuchała, wzięła pióro w rękę. Pisała:

Łóżeczko z siatką z blachy biało lakierowanej, z malowidłem japońskim. — Sukienka granatowa z kołnierzem koronkowym. — Sukienki dwie woalowe...

Zajrzała do szafy, aby stwierdzić, i pisała dalej:

Jedna granatowa w kółeczka, druga pąsowa, — której ani razu nie miała na sobie...

Ostatnich słów nie mogła dopisać do końca, — łzy wybiegły jej z oczu i załwały dalszą część papieru.

— Kiedy indziej spróbuję dalej! — rzekła nareszcie. Poznał, że nie trzeba jej męczyć.

— Także lekarstwa, które po niej zostały...

— Naco? Już się nie przydadzą.

Cofnął się przed nią w głąb swego uporu. Lecz coś nowego miał jej jeszcze do zwiastowania.

— W tej szufladzie mam zamknięty bezcenny skarb. Kliszę, na której fotografowałem ją na parę dni przed zgonem. Trzeba ją nareszcie wywołać, aby się nie zepsuła. Teraz mam już na to odwagę. Myślałem, czyby nie dać jej do fotografa, ale nie dowierzam tym rzemieślnikom, i niech niczyje ręce nie dotkną tej pamiątki tylko nasze.

Dotknęła palcami czarnego papieru, w którym była schowana kasetka z kliszą. W tym drobnym przedmiocie spoczywała jeszcze tajemnica jakiegś odrobiny życia, które się mogło za chwilę rozwinąć i trwać wiecznie. I nagle w dziwacznej formie przypomniały jej się pierwsze odruchy

macierzyńskiego uczucia. Zazdrościła Wacławowi, że umie się z tem obchodzić. Zdawało się jej, jakby to do niej należało. Ważyła kliszę w ręce...

— Uważaj, nie upuść!

Z westchnieniem położyła kliszę na stole i pomogła Wacławowi urządzić improwizowaną ciemnię. Czekał jednak jeszcze nadejścia nocy. Czuł się w tej chwili nieskończenie ważnym, ale truchlał na myśl: gdyby się nie udało...

Gdy się pora sposobna zbliżyła, ociągał się jeszcze. Złe przecucie ogarniało go. Nie pamiętał, czy wskutek pośpiechu i zdenerwowania nie popełnił jakich błędów technicznych w chwili, gdy Osie fotografował. Nie mówił nic o tych obawach Ludmile, która swem zdziwieniem we wzroku popychała go do rozstrzygnięcia niepewności. Żałował, że ruszał dziś tę kliszę. Wreszcie się zdecydował.

— Ty wierzysz w Boga? Zostań tutaj i módl się o powodzenie komicznego czarodzieja.

Wszedł w ciemność.

— Taka ciemność, rzekł sobie, jest w łonie matki, gdy się ma narodzić dziecko. Tu mam w rękę ziarno. Jestem w tej chwili ojcem i matką. To jest niby niepokalne poczęcie.

— Błogosławione czerwone światło, — pomyślał, odkręcając lampkę elektryczną. — Niech się święci ta szklanna wanienska, w której skąpię jeszcze raz ciało mojej małej męczennicy! A teraz przyjdzie wywoływać ze swoim zaklęciem...

Trzymał w drżącej ręce flaszkę, znaną mu z dawnych procedur. Już miał wylać z niej płyn do wanienki, gdy machinalnie przeczytał napis na flaszeczce:

— Pyriphlegethon.

Nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć. Nie było takiego wywoływacza. Skądś jednak znał tę nazwę. Pyriphlegethon! Słowo z dwóch słów złożone — a taką przecież była nazwa płynu, którego stałe używał, — tak mówiła mu pamięć słuchowa. Więc wróciło mu uczucie oswojenia się, które na chwilę zgubił. Ręka, która się była zawahała, przechyliła płyn i część wlała do miseczki.

Wtedy ściszył się w nim oddech. Ostrożnie nawet przed światłem czerwonym wyjmował z kasety kliszę-zagadkę. Spojrzał, aby sprawdzić powierzchnię. Błysnęła ku niemu na chwilę mleczną stroną, poczem zanurzyła się w miseczce.

Wanienka zamieniła się w kołyskę... Kołysząc, śpiewał w myślach: Pokaż się ty czoło wysokie, pokaż się ty nosku rasowy, zarysujcie się wy jedwabiste brwi delikatne i wy, spieczone gorączką, drobne usta... chodź!

Stało się coś jakby optyczne westchnienie kliszy. Na moment wyskoczyła ku niemu twarz Osi w negatywie jakby siwej staruszki, lecz natychmiast zaczęła ją ogarniać i wchłaniać chmura jakiejś obrzydłej szarzyzny. Daremnie ratował, regulując napięcie płynu, — wizja znikła na zawsze. W ręce pozostało mu tylko martwe szkło. Osia skończyła mu po raz drugi.

I do szkła-trupa powiedział pamięcią ów szept, który usłyszał był z ust Ludmiły wtedy, gdy padła na martwe już ciało dziecka:

— Duszo moja — ty jesteś bez duszy!

Poddał głowę pod maczugę tego piekielnego okrzyku.

Gdy wyszedł z miejsca klęski, Ludmiła nie pytała go już o nic. Nie przywiązywała takiej wagi do jego kliszy. Uśmiechnęła się do niego, aby złagodzić jego zakłopotanie, pogłaskała mu rękę. Rozmawiali o rzeczach

obojętnych. Ale czuł w jej spokojnym głosie jakby triumf nad nim. Byli od siebie daleko. Wtem padło jej pytanie:

— Nie mogę sobie przypomnieć... Jak się nazywa ta rzeka w Hadesie, która płynęła falami płomieni?

— Pyriphlegethon! — pomógł odrazu. Na tem słowie spotkał ją i w wyobraźni znaleźli się znowu razem nad brzegiem rzeki, którą beznadziejnie uciekała straszna łódka z rozpalonem ciałem dziecka...

Wacław zrozumiał, że ujrzał je właśnie przed chwilą znowu żywe, na jedno mgnienie. I przypomniał sobie także, że właściwy napis na flaszeczce brzmiał: Hydrochinon. Dla upewnienia się zajrzał jeszcze do porzuconych przyrządów i odczytał obojętne choć zaczajone słowo z dwóch słów złożone: Hydrochinon. Nie ogień lecz woda...

Wysnuwał teraz wnioski ze swojej kłęski.

— Ja myślę — rzekł obłudnie — że Osia musiała się już przyzwyczaić do swojego stanu, jakimkolwiekby on był, bo przystosowawcza zdolność ludzka jest ogromna. Że się już przecisnęła przez ten jakiś mur, który ją dzielił od... i stanęła po tamtej stronie, gdzie sobie jakoś dała rady.

— Ty to mówisz? Ty chcesz mnie „pocieszać“?

— Nie... nie...

— Jakże ona sobie da tam rady — beze mnie?

— Bez nas!

— Ty mogłeś się zostać!

Te słowa zorientowały go odrazu. Wiedział, że Ludmiła wypomina mu chwilę, kiedy wstrzymał ją od samobójstwa, i chwilę późniejsze, kiedy jeszcze pilnował, aby sobie nic nie zrobiła. Wiedział, że jej wola pod tym względem teraz zupełnie osłabła i że nie było obawy. Pojawiła się przed nim myśl, której już nie odpychał, że

teraz byłoby jednak lepiej, gdyby się jej było wtedy udało. Byłby spokojny co do dalszej opieki nad Osią.

— Zapóźno! — szepnął.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Wyglądało to na przeproszenie, lecz pocałunki jego przedłużyły się nad tę miarę.

Było to po raz pierwszy po śmierci Osi i wydawało się Ludmile nietaktownem zerwaniem milczącej umowy. Wyplątała się z jego objęć łagodnie lecz stanowczo.

— Musimy przełamać czar — rzekł, doradzał.

Patrzyła nań badawczo. Czuła brak przekonania w całym tem jego zachowaniu się. Że tylko chciał się upoić. Lodowata istota usiadła między nimi i dzieliła ich. Samotność była naokoło jak surowy świadek.

Objęła go za szyję, sama pocałowała go silnie jakos i groźnie, i złemi oczyma sięgając weń, zdecydowała się:

— Przełamać czar? Czy masz uścisk, któryby wrócił życie mojemu dziecku? Tylko tak możesz mnie jeszcze mieć, nie inaczej. Daj mi ją po raz drugi, oddaj mi ją, albo nie zbliżaj się do mnie... Jeżeli tego nie mogę mieć od ciebie, jesteś mi już niczem...

Całowała go wśród tych słów tchnących nienawiścią, opancerzyła się obłąkaniem. Na tem się skończyło. Pozostała nietkniętą.

Wacław poznał, że nie może zostać w tym domu dłużej.

— Muszę wyjechać. Ale przysiąż mi, że nie zrobisz sobie tu nic — bez porozumienia ze mną. Bez mojego pozwolenia.

Przysięgła. Stała się znowu dobrą i miłą. Wynagrodziła mu zwierzeniem i skargą:

— Mam taki ból nieznośny pod gardłem... Zdaje mi się, że mam serce jak na tych świętych obrazkach serce Matki Boskiej przekłute mieczami... Pali mnie...

Klęka przed nim i płakała na jego kolanach.

Nazajutrz wyjechał. Dopiero gdy się upewniła, że już nie nawróci, podeszła cichaczem do opustoszałego łóżeczka dziecięcego i po raz pierwszy, podniósłszy kołderkę, jak rzeźbiarz lub fotograf w tym negatywie pościeli szukała odcisków ciała biednej Osi.

2.

— Dobrze, że sobie pojechał! — rzekł ojciec Ludmiły. — Ten, jakże go tu nazwać, uparty człowiek. On ciebie zatruwa. On zawsze coś knuje. Postaram się, aby ci nie zabrakło odpowiedniego towarzystwa.

Wymienił parę krewniaczek, które zamierzał zapraszać, lecz Ludmiła zaprotestowała tak stanowczo, że zachmurzył się i ucichł. I tak miał już na sumieniu przewiny zbyt natrętnej opieki: przejął dwa listy, pisane do niej przez męża, i zniszczył, nie czytając.

Po wyjeździe Wacława usposobienie Ludmiły rzeczywiście się zmieniło. Odpoczęła już trochę po trudach i zabiegach, spowodowanych chorobą i śmiercią Osi, i przygnębienie ustąpiło miejsca jakiemuś radosnemu smutkowi, który zagarniał w posiadanie, bez przeszkody, coraz większe przestrzenie. Cały dom, pełen wspomnień i pamiątek po Osi otwierał tylko dla niej te skarby; ulica, drzewa na spacerze, już żółkniejące, i góry stalowe w oddali ciągle były dla niej jeszcze zaczarowane magją oka dziecięcego, które na nich niedawno świat poznawało. Nie wahała się nucić po cichutku piosenek, które dotychczas śpiewała choremu dziecku, i nie zauważała jeszcze zupełnej ich zbyteczności. Żaloba zagnieżdżyła się w niej nakszttał tajemnicznej krynicy, tryskającej w takim ustroju, że nikt obcy się tam nie przejrzy ani jej nie zamąci.

Było tylko jedno miejsce, u którego teraz jej smutek stawał martwy i obojętny: a tem miejscem był grób Osi. Tam właśnie najmniej odczuwała jej obecność, a nawet szła tam jakby z niechęcią i tylko z obowiązku. Broniła się przeciw wierze, żeby to, co jest pod ziemią, mogło jeszcze mieć coś wspólnego z Osią. Nie mogła i nie chciała myśleć o tem, co jest zamknięte w trumnie. Ani jakoś nie nawiedzały jej teraz pogańskie myśli o duszy błędzącej między niebem a ziemią, lecz odrazu bez trudu, jasnowidząco, wyobrażała sobie Osię jako aniołka, stojącą w obłokach tuż koło tronu boskiego. Ze złożonemi rączkami, w białej sukience, z wianeczką na głowie, śpiewa Panu Bogu tym głosem delikatnym jak dzwoneczek, — a Bóg udaje, że nie dosłyszał, i każe jej powtórzyć i przybliżyć ucha... Więc Osia żyła już niewątpliwie w ciepłych promieniach chwały niebieskiej, które jej się przeziębienie nie dadzą... Wszak ona sama, matka, niedawno na ciekawość Osi: Co to znaczy umrzeć? — malowała jej taką przyszłość „u Bozi“, aby ją przygotować do śmierci. I dziecko tak sobie tem główkę nabiło, że w ostatnich dniach na pytania: Co tobie jest? z zamkniętymi oczyma, nieprzytomnie odpowiadało: Idę do Bozi, idę do Bozi! — jakby już wtedy szukało tej jakiejś drogi... Więc jakżeby mogło było stać się inaczej?!

Schowała się w tę dziecięcą wiarę jak pod maskę. To też z uśmiechem lekceważenia czytała list, który wreszcie otrzymała od Waclawa. Brzmiał niezrozumiale, ponieważ nawiązywał do poprzednich, skonfiskowanych przez teścia. Waclaw donosił:

„Po wielu badaniach i rozmyślaniach, gdy już prawie ugrzązłem w pospolitem, małodusznym krótkowidztwie idealistycznym, udało mi się znaleźć najrozsądniejszą jeszcze hipotezę co do teraźniejszego bytu Osi. Powiedziała

mi to grudka ziemi, którą zabrałem z jej grobu. Wróciłem do wiary starożytnych Egipcjan. Oni uporczywiej wpatrywali się w otwarty krużganek śmierci, niż ludzie, którym wiara chrześcijańska zaważyła do niego drogę, rozwiązując sprawę zaiste według zasady najmniejszego wysiłku. Dlatego oni wymyślili mumje i piramidy, dlatego też może inni starożytni palili ciała, nie mogąc znieść ich rozkładu.

„O czym mówię? Czy wierzę w „ducha“? Nie, lecz wierzę w upiora. W człowieku — może nie w każdym — jest materiał na upiora. Materiał ten budzi się, gdy człowiek umiera. Ale budzi się tylko na pewien czas. Taki to dopiero „duch“ niekoniecznie miałby wracać „zza grobu“, z nieba, z rozmowy z Bogiem, niekoniecznie trzebaby go sobie wyobrażać jako istotę wszechwiedzącą i wszechrozumiałą, — on mógłby być niedoskonały, niedobry, ułomny, i mógłby jeszcze cierpieć a nawet osobną śmiercią umrzeć. Dziwiłoby mnie też bardzo, gdyby natura była tak skąpą czy ubogą, żeby nie mogła wytworzyć takich istot. Jeżeli zaś ich niema — to może kiedyś ludzie sami nauczą się je wywoływać i magik przyszłości nie będzie stał bezradny nad psującymi się zwłokami.

„Przedtem myślałem, że skoro był czas, kiedy Osi nie było, bardzo wiarygodnym jest czas, kiedy jej nie będzie. Lecz takiego czasu teraz sobie uzmysłowić nie mogę. Wierzę jeszcze, że ona żyje życiem niezależnym od nas, gdziekolwiek, choćby w mękach, bo nieistnienie jest bólem największym. Ale czeka ono wszystkich i w tem jest moja jedyna pociecha. Świat żyjący jest tylko małą, coraz mniejszą i mniejszą kulą, oblężoną przez nieskończony ocean płomieni, których jeden język widziałas: Pyriphlegethon.

„Wróciłem więc do materializmu, który przyjmuję jako jedyną uczciwą filozofję. Z tych odmetów nie mogę

Ci przestać t. zw. słów pocieszenia, ale wiem, że sama sobie tego nie życzysz...”

Kończąc czytać, odczuła list natychmiast jako zamach na spokój swej duszy, zmięła go i zapaliła. Ale gdy na chwilę buchnął płomień, widok jego przemówił do niej jeszcze raz ponuremi myślami listu: oto jestem czyhający wszędzie Pyriphlegethon...

Szarpnęła się, aby zwalczyć atakujący ją wpływ. Zniszczyć, spalić wszystkie materialne pamiątki po Osi! Rzuciła się do szafy i jęła nerwowo przebierać w jej sukienkach. Przypomniał się jej niedokończony „Inwentarz Osi”. Porwała dwie sukienki, wyszła na miasto i podarowała je dzieciom jakiegoś biednego stróża. Ale na tem już się wyczerpała jej żądza niszczenia; wróciła skruszona, pokorna i wzięła się do dalszego spisywania „Inwentarza”:

„Duża, przystojna lalka od św. Mikołaja, mała lalka z zepsutemi rękami — zepsutemi nie przez Osię, lecz przez dzieci, które się z nią bawiły, bo ona wszystko bardzo szanowała i martwiła się, gdy się co popsulo... Zajączek z sukna, staruszek, bo tyle lat ma co ona, i załatany już rączką Osi...”

Tu już nie mogła dalej; coś się przytulało do jej kolan, a zajączek wydawał się bardzo zmartwionym... Przewyciężyła się i przeliczała inwentarz dalej:

„...dwa kółka do podbijania; wyplatany fotelik i stolik; klocki; talja małych kart, któremi wykladała sobie pasjansa (daruję, wszystko daruję!); pudeleczko, do którego naszkładała sobie pestek z pomarańcz i cytryn, żeby zasadzić i mieć ogród pomarańczowy i cytrynowy...”

Z otwartego pudełka wionęło zielenią, — między krzewami przemykała się pąsowa sukienka. Lecz Ludmiła pisała dalej szybko, z coraz większą trwogą:

„...plecionka z łyeczka kolorowego, długa, bardzo długa, którą Osia sama robiła, mówiąc, że zrobi taką długą, aż do nieba...”

Wstrzymała oddech, wpatrzona w dal... potem krzyknęła do kogoś: daruję! Lecz narazie wszystko zamknęła napowrót do szafy.

W nocy wypełził z szafy długi, kolorowy wąż, którego się wszyscy bali, lecz on wśliznął się do niej i owinał się naokoło jej szyi niby małe, ciepłe ramię, a potem zajrzały w jej oczy tamte oczy, smutno-czarne, i wołały coś niezrozumiałego.

Obudziła się poza łóżkiem, z ręką na kłamce. Szła gdzieś? Znak? — Lecz ta cisza naokoło.

— Trudno, moja dziecino! — odpowiedziała Ludmiła nawpół przez sen—musisz się od piersi odzwycząić.

A mirty od wianeczka, w którym Osia przyjmowała pierwszą i ostatnią komunję, przyjęły się w szklance doskonałe.

3.

Od kiedy, reagując na list Wacława, Ludmiła postanowiła sobie nie chodzić już na cmentarz, wyobrażenie Osi, śpiewającej „u Bozi“ w niebie, dziwnie jakoś w niej zagasło i znane miejsce obok tronu Bożego ukazywało się puste. Wacław nie pisywał już wcale, chociaż teraz ona łaknęła jego listów, ojciec przestał się nią opiekować, grał w karty i po kilka dni nie zjawiał się. Pozostała więc sama na pastwie dziwnych mocy, krzyżujących się u okienka codzienności, sama wobec żywiołu, który jej mógł przynieść wszystko lub nic.

Spędzała czas na żarliwych modlitwach w kościele i odwiedzaniu chorych dzieci, wreszcie znowu zaczęła dawać lekcje fortepianu. To wprowadziło ją także w świat dzieci, w którym, jak myślała, przyjdzie do siebie. Chytre

wybiegi uczucia! Gdy uczyła małą Wandzię stawiać paluszki na klawiszach, w tę ciżbę rąk mieszała się także inna, tak znajoma rączka, która sama z siebie wypełniała wybredne tajemnice techniki i kociemi przyciśnięciami biegła szybko po klawiaturze, patrząc zalotnie ku nauczycielce: pochwal! Ale Ludmiła chwyciła w dłoń swoją tylko pracowitą dłoń Wandzi — tamta cofała się w niezgłębioną toń dźwięków i melodyj, ukrytych w instrumencie.

Brakło jej czegoś na wysokości niecałego metra, czegoby mogła dotknąć każdej chwili ręką—i ta wysokość zamieniała się dla niej w niewidzialną płaszczyznę, wszędzie rozsnutą. Brakło jej kogoś, ktoby jej ustawicznie „przeszkadzał“, to znaczy wymagał od niej najpospolitszych i najmądrzejszych posług roślinnego życia.

Wzięła do siebie na jeden dzień jakieś dziecko i dała mu się bawić zabawkami Osi, aby wnet odczuć to jako profanację i niecierpliwie szukać pozoru, pod którymby można usunąć plądrujące dziecko. Teraz puściła się na poszukiwanie dzieci po ulicach. Zatrzymywała jedno i drugie, zatrzymywała grupki dziatwy i mówiła im jakby ciekawą nowinę:

— Czy wiecie? Osia umarła!

Szukała oczu, z poza których niechajby spojrzęło ku niej coś znanego, szukała jej klasycznego noska, jej małych ust, i jej własnych chmurnych, poważnych oczu, z których raz po raz odrywały się czarne błyszczące płatki... Ale wciąż się rozczarowywała, niezadowolona i przez to właśnie zadowolona. Nie było już na ziemi dziewczynki, któraby się mogła równać z Osią. Tego, co najlepsze, mogło zbraknąć na świecie, i tylko ona i Waclaw wiedzieli o tem.

Od kilku dni spotykała na różnych ulicach jakiegoś pana, prowadzącego za rękę dziewczynkę wzrostu Osi.

Z początku widywała ich daleko w tłumie, potem odległość między nimi z każdym dniem się zmniejszała. Dziewczynka często wznosiła główkę w górę i pytała o coś swego towarzysza. Ale nie mógł to być Wacław, choć utykał. Czasem kupowali kwiaty. Raz o mało ich nie stratowały rozpedzone konie, unoszące wóz bez woźnicy,—krzyknęła wtedy zdaleka ku nim, lecz oboje ocalili jakby cudem i znowu znikli jej z oczu.

Cały tydzień nie mogła ich już potem spotkać ani razu. Z niepokojem błądziła po ulicach i przychodziła do domu znużona i zdruzgotana ciosami omyłek. Ale we śnie napastowały ją wizje cmentarne. Śniła o sobie jako o skąpcu, który codziennie wykopuje swój skarb z pod ziemi, niby ogląda i zakopuje napowrót. Kiedy zaś bliżej chciała zbadać zawartość, uczuła w dłoniach coś nieskończenie zziębniętego i drżącego,—„natychmiast dam jej się napić gorącej herbaty!“—pomyślała.

Lodowaty wicher dął ulicami młasta, kurzem napełniał usta, gdy Ludmiła znowu spostrzegła owego mężczyznę z dziewczynką, tym razem tak blisko, że niemal mogła ich dotknąć. Jakże nędznie było ubrane to niebożątko! Jeszcze ten sam letni płaszczyk, już za kusy, i dziury w pończoszkach. Biegli, jakby uciekali. Biegła za nimi. Aż w pustą ulicę, gdzie po jednej stronie ciągnął się odrapany mur, a za nim znajomy ogród, zwieszający jabłka ku przechodniom. Tu dopędziła ich i dotknęła pleców dziewczynki. Wtedy odwrócił się do niej ów mężczyzna —

i Ludmiła nie zobaczyła przed sobą już nic więcej tylko jakiś grób nachylony tuż przed nią prawie prostopadle wraz z murawą cmentarną, poziome krzyże i drzewa, i cała ta wielka, zielono-rdzawa ściana, przesłoniwszy jej wszelką jasność i cały świat, dźwigała się szybko w górę,

jak wrótnia obracająca się na zawiasach, aby ją przy-
skrzynić na wieki.

Krzyknęła jak przez sen i zemdląła.

Kiedy ją przyniesiono do domu i ocucono, ojciec
pochylił się nad nią, badał puls i powiedział:

— Tobie potrzeba dziecka!

Przytwardziła tajemniczo:

— Tak ojczy, postaram się o nie!

Przeniknęła już wszystko i od tej pory nie było nie-
porozumienia między nią a snami. Jedynym celem jej
był teraz ów punkt na cmentarzu, gdzie trumna z ciałem
zakłętą królową rozbłyskiwała jak radjum w ciemnościach,
ku środkowi ziemi, wskazując jej drogę.

Napisała do Wacława: Zaczynam działać.

4.

Ludmiła weszła szybko na cmentarz i starała się nie
słyszeć nienawistnego dla niej zgiełku grobów, napętnia-
jącego fałszywą ciszę. Nareszcie, idąc pomiędzy odarte
już z liści gałęzie, przyzwyczała się. Nie pominęła je-
dnego znajomego jej z dawna grobu, koło którego prze-
kradała się na palcach. Tu na płycie kamiennej leżała
wciąż ta sama czarna plama: jakaś pani w żałobie, której
twarzy nigdy widać nie było, iż wyglądała jak sama roz-
pacz bezkształtna i nieruchoma...

— Powiedz, co widzisz, co myślisz, czegoś zaznała? —
Nie chcę wiedzieć, jak się nazywasz, kim jesteś, czyś
człowiekiem, czyś duchem, — trwaj tak wiecznie plamo
żałobna, za mnie i za wszystkich!

Obecność jej w dziwny sposób dodała Ludmile odwagi
i wiary w królestwo duszy, panujące w tych podziemiach.
A oto już na zakręcie wynurzył się ostatni ostrów jej
życia, poznawany przez nią zawsze tem samem ściśnięciem

serca: skromny grób Osi, wysadzany żuźlami w obramieniu rabatek, zaopatrzony tylko czarnym krzyżykiem. Nic się tu nie zmieniło, tylko begonje i petunje przekwitły i upominały się, aby wobec nadchodzących Zaduszek złuzować je astrami. Poważny dąb i kasztan wyciągały nad grobem chroniące dłonie i zrzucały nań swe owoce i zwędłe liście. Wszystko wyglądało tu tak, jakby to nie było miejsce, popod którym płynął Pyriphlegeton.

— Gdzie jest to miejsce, Osiu, gdzie zwykle siadasz, wyglądając mamusi, czy przyjdzie, i skarzysz się: znowu nie przyszła! Tu — czy tam? Teraz myślę, że cię już nigdy nie opuszczę; skończyła się twoja niecierpliwość.

— Ale nie, ty nie wychodzisz, jesteś w więzieniu. O dziecko, dziecko, twoja tęsknota woła mnie do siebie. Wkopałabym sobie rękę, aby spotkać uścisk twojej ręki; stałabym się drzewem, aby głęboko zapuścić korzenie aż do ciebie. Ale dziś trzecia noc mego czuwania — jesteśmy już u kresu.

— Pytasz, czym ci przyniosła pieska? Tak, przyniosłam ci śpiącego psa w piersi swojej, ale nie budzę go, przynigdy go nie budzę. Patrz, tam z trawy wystercza łebek łasicy, — ona tu zapewne często do ciebie przychodzi, częściej niż ja, — czy bawicie się z sobą?

— Wydaje się, jakgdyby cię można tu gdzieś niedaleko znaleźć, porzuconą przez kogoś, co cię ukradł, otuloną w liście, mniejszą, nieprzytomną, słabą jeszcze, lecz dość wziąć do łóżka, wychuchać, dać odpocząć a pączek znów się rozwinie.

— Boże, cudu, cudu żądam! Ja tego nikomu nie powiem i nie będę zarozumiała. Przecież mnie zabierzesz potem także ze sobą, jedyne go świadka. Uczyni to, co uczyniłeś już raz... „Dzieweczka nie umarła, ale śpi“...

Miało się ku zachodowi, gdy nad cmentarzem pojawił się aeroplan o bladoniebieskich skrzydłach ważki. Na te skrzydła położyła Ludmiła swą prośbę i patrzyła długo w niebo, jak aeroplan skowrończemi kołami odlatywał w nieskończoność, niosąc myśl matczyną do sfer najwyższego spełnienia.

Z kasztanów ułożyła na grobie imię jak zakłęcie. Zapaliła świece i jednoczyła się z życiem tych ubogich płomieni, aż w cieniach nocy wykuły sobie kaplicę jarzącego się światła, w której miało się dokonać zapowiedziane jej przez sny misterjum.

— Pamiętasz Osiu, jak to raz zapytałaś mnie: Mamo, jak to się rodzi? I kiedy się wahałam, usiadłaś poważnie na krześle, obciągnęłaś sobie sukienkę i powiedziałaś: Ale opowiedz mi od początku!

— Teraz będziesz sama obecna przy początku i wszystko zobaczysz. O, bo ty jesteś już starsza, o wiele starsza. Raz pytałaś mnie: Mamo, czy w grobie się rośnie? Ja nie wiem, ale niedawno śniłaś mi się, że znalazłam cię szpakowatą i rozmawiałem z tobą jak z siostrą.

— Mam ci opowiedzieć bajkę? Czy o strachach? O, dziecko, ty sama jużbyś teraz mogła straszyć. Ale opowiem ci tę o matce, która szukała swego zmarłego dziecka, — pamiętasz? — nad którą obie płakałyśmy.

— Pewnej matce niepoczciwa Śmierć zabrała dziecko. Zdrzemnęła się tylko na chwilkę, zmęczona czuwaniem, a dziecka już nie było. Został się tylko połatany zajaczek i głupie lalki, które o niczem nie wiedziały.

— Więc matka wybiegła z chaty i zobaczyła Noc. Noc, której głowa dotykała nieba. A noc nie chciała jej wskazać drogi, którą Śmierć uciekła, i matka musiała jej wyspiewać wszystkie pieśni, które śpiewała chorej córeczce,

pieśni przecudne, bo to były te, które śpiewaliśmy razem, i wtedy dopiero Noc się zlitowała i wskazała jej drogę.

— A czas upływał okrutnie.

— I matka przybiegła do krzaka róży, okrytego śniegiem, i tuliła go do siebie tak mocno, tak gorąco, tak wiosennie, jak ja ciebie przytulę, — że krzak ożył, zazielenił się i rozkwitł i wtedy wskazał jej drogę.

— Znalazłyśmy ten biedny krzak raz na spacerze — pamiętasz? — a jego skromne kwiaty cieszyły nas więcej od wszystkich innych.

— Śmierć uciekała tymczasem coraz dalej, aż biedna matka, zatrzymywana przez coraz to inne przeszkody, przybiegła nad Morze i zrozpaczona chciała się w niem utopić. Ale Morze zlitowało się i rzekło: „Wyplacz tylko do mnie swoje oczy, bo nie mam tak pięknych pereł u siebie, a przepuszczę cię i wskażę ci drogę“. I matka wyplakała swoje oczy i poszła dalej ślepa.

— A gdy ty raz byłaś nieposłuszna i nie chciałaś pić lekarstwa, zapytałam cię: Czy chcesz, żebym i ja sobie oczy wyplakała do morza? A ty odpowiedziałaś: Nie, mamusiu, nie chcę, ty masz takie śliczne oczy, nie płacz! — i piłaś odważniej niż pił truciznę ten grecki mędrzec, o którym ci opowiadałam.

— Ale potem zjawił się Wilk, który powiedział, że Śmierci wydarł dziecko ktoś większy i silniejszy: a tym był Pan Grób. A Pan Grób był cały zielony z przodu, miał krzaki i drzewa jako wąsy i brodę, i trzymał dziecko w zamknięciu zazdrosnem, ale jego trumna świeciła żółtą i dawała znaki.

— I matka przyszła na grób i spytała: czego chcesz? Pan Grób odrzekł: Spodobałaś mi się, daj mi swój pierścionek ślubny i daj mi siebie. Wypuszczę zdobycz na

trzy dni, abys się nią jeszcze nacieszyła, a potem wrócisz do mnie oboje — na zawsze.

Pochyliły się kasztan i dąb, słuchając opowieści. Biała od światła kaplicy wysoka tuja znaprzeciwka udawała sterczącą w niebo Noc. Mała sosna, która się tu sama zasiała, była oszołomiona i szumiąca tem, co słyszała. Zdaleka brzoza u skrzyżowaniu ulicy cmentarnej pilnowała, jak siostra, aby się nikt nie zakradł. Tuż poza nią z przepaści horyzontu tryskała w górę fontanna drogi mlecznej i meteory raz po raz wirowały naokoło ziemi, rysując świetlistymi bruzdami zagadkowe figury geometryczne. A księżyc był białą piłką myśli dziecięco-matczynej, która wyrzucona w niebo, nigdy już spaść napowrót nie chciała.

Tak dokonywał się wspólny spisek na prawa tego świata...

Ludmiła, zdjawszy pierścionek, wkopała go w grób głęboko i zaśpiewała pieśń ludową:

Ostaniesz się dziewczyną,
Nie będzie tobie ślub,
I zaśniesz pod kaliną,
Małżonkiem twoim grób!

Położyła się na rabatce i przywarła ustami do grobu...
A nad nią już świece gaśły i nastawała północ. — — —

Okolo tej pory stało się, że żalosc istoty zamkniętej w grobie przesiąknęła wreszcie na powierzchnię czerwonymi kroplami jak z utajonego źródła, następnie czerwonym oparem otoczyła ciało śpiącej i roznieciła się w rubinowy, ponury płomień. Jęk wyrwał się z piersi Ludmiły, lecz nie przebudziła się i spała dalej jakby w śnie miłosnym. Płomień objął ją całą, wchodził w nią, przesycał wszystkie pory jej ciała, wypełnił ją jak naczynie po brzegi, i zahaczywszy się w niej silnie, jeszcze

tylko trochę wydobywał się nazewnątrz, kształtem drżącej, powiewnej mgły różowej, którą wiatr poranny starał się roztargać na drobne smugi dymu po zeschniętych trawnikach.

Zachwyty i bolesna rozkosz drgały na twarzy śpiącej, choć ustami chwytała głęboko oddech jak duszona przez zmore. Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy się zbudziła. Czuła się tak ciężką, że zrazu dźwignąć się nie mogła. Jej ruchy sprawiały, że czerwony opar rozrzedzał się nieco, szerszym woalem się rozwiewał,—lecz trzymał się jej mocno i nie puszczał.

Ludmiła stanęła na wierzchołku grobu czerwono, uroczyście, i wyciągnawszy w górę dymiące ręce, dziękowała gwiazdom, szalonymi, bezrozumnymi zgłoskami. Dławiła ją duma powtórnego macierzyństwa, które pokazywała komuś niewidzialnemu.

Szła teraz w ciemności ostrożnie, aby nie zawadzić, nie stłuc świętego naczynia. Ale w myślach ten pochód wydawał się jej tańcem bakchanckim.

— Jestem pijana! Idę ze schadzki miłosnej i jestem już matką! Jestem cyganką, która ukradła dziecko!

Wyglądała jak mglista, rozżarzająca się kula, ilekroć przyspieszała kroku, aby zanieść co rychlej do domu drogi ciężar. Paru ludzi z niedowierzaniem zauważyło zdaleka to dziwne zjawisko, które przygasało, gdy się zbliżyli. A właśnie wtedy zerwała się burza tak szalona, że kto mógł, chronił się do domu. Ludmiła, modląc się, pędziła przed siebie i zaciskała naokoło ciała z całych sił swój nowy szal, utkany z materji droższej od wszystkich kaszmirów świata.

Dopadła bramy, otworzyła sobie, wbiegła do siebie i rzuciła się na łóżeczko Osi. Była zmęczona śmiertelnie. Aż do tej chwili panowała jeszcze nad sobą, podtrzymywała ostatkiem woli logikę swych czynności. Teraz nie

mogła już dłużej. Ogarnął ją stan, który nie był ani snem ani zemdleniem. Nadsluchiwała tylko wściekłego wycia burzy, która rozbijała się po ulicach, szukając czegoś czy kogoś. Były w tym głosie jakby skomlenia, skrobania i groźby. Ale Ludmiła czuła się już tutaj za murem bezpieczną ze swoim skarbem skradzionym.

.....

Tu przerwa w jej bycie, a potem ból, jakby znany... Wiła się z tego bólu i ze strachu przed ponowną utratą czegoś bezcennego. Jakieś ciepło wysuwało się z niej uparcie i pieszczotliwie a natomiast zostawała w członkach lodowatość.

— Ono! Ono! — szeptała sobie w martwiejących myślach.

Bez czucia zwała się na ziemię.

.....

Szary świt już był, gdy się dźwignęła, i nawpół senna klękała przy łóżeczku. Miała zawarte oczy, śpiąco czy rozmyślnie. Ostrożnie wysunęła rękę i dotknęła świętego ciała. Tego, które było nadziemskie a przecież aż nazbyt ziemskie. Wodziła po niem ręką jak ślepa. Przekonywała się, czy wszystko w porządku. Wiedziała, że ta istota siedzi pod kołdrą, w pozycji takiej, w jakiej zawsze podczas choroby siedziała, jedną nóżkę podgiąwszy pod siebie. Dotknęła jej oczu—i one były zamknięte.

— Jesteś, jesteś już u mnie i nic już stać ci się nie może. Niech się trzęsie ze złości wichura. Ja cię już nikomu nie oddam. Nie odstąpię cię ani na chwilę. Będziesz żyła, będziesz żyła. Przecież już sobie tak długo odpoczęłaś. Są jeszcze wszystkie lekarstwa. Będziesz

piła mleczko gorące. Są także wszystkie zabawki i prawie wszystkie sukienki. O, otwierasz oczy. O, ruszasz się! O jakie ty masz chude rączki. A nogi...

Na tych nogach poczuła ślady gliny, pocałowała je i w tej chwili z zamkniętych oczu puścił się jej nareszcie strumień łez, któremi obmywała i ocieplała te nędzne szczątki człowieka...

Anielski głos niósł szeptem wieść z królestwa szatana:

— Mamo, mamó, odgoń te straszne zielone muchy!

KONIEC.

Błędy druku:

Str.	8	wiersz	14	od dołu	zamiast	da — dał
„	15	„	3	od góry	„	zasną — trzasnął
„	26	„	2	od góry	„	Kilińskiego parku — parku Kilińskiego
„	54	„	7	od dołu	„	jakiś — jaki
„	60	„	4	od dołu	„	myśl — myśli
„	80	„	9	od dołu	„	przygniecony — przygnieciony
„	102	„	2	od dołu	„	kwadrans — kwadrans
„	117	„	9	od góry	ma się	zaczynać: i bęc, bec, łup, łup, szast, prast, bili...

Tegoż autora wyszły:

Pałuba, nakładem B. Połonieckiego, Lwów, 1903.

Nowele, nakładem M. Hasklera, Stanisławów.

Wiersze i dramaty, ten sam nakład, 1906.

Dobrodziej złodziei, komedja w 5 aktach, ten sam nakład,
1907.

Fryderyk Hebbel jako poeta konieczności, ten sam nakład,
1908.

Czyn i Słowo, nakładem B. Połonieckiego, Lwów, 1912.

W tece gotowe:

Kamerton śmierci, dramat w 3 aktach, 1908.

Jarzmo kaudyńskie, tryptyk dramatyczny (Człowiek przed
soczewką. Człowiek z pożaru. Człowiek pod jubi-
leuszem).

Promienie O czyli Robaczki² Świętojańskie, libretto operet-
kowe w 3 aktach.

Przekłady:

Hebbel: Judyta, tragedia. (Nakład Zuckerkandla).

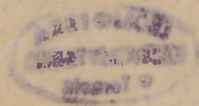
Hebbel: Dzienniki. (Nakład B. Połonieckiego).

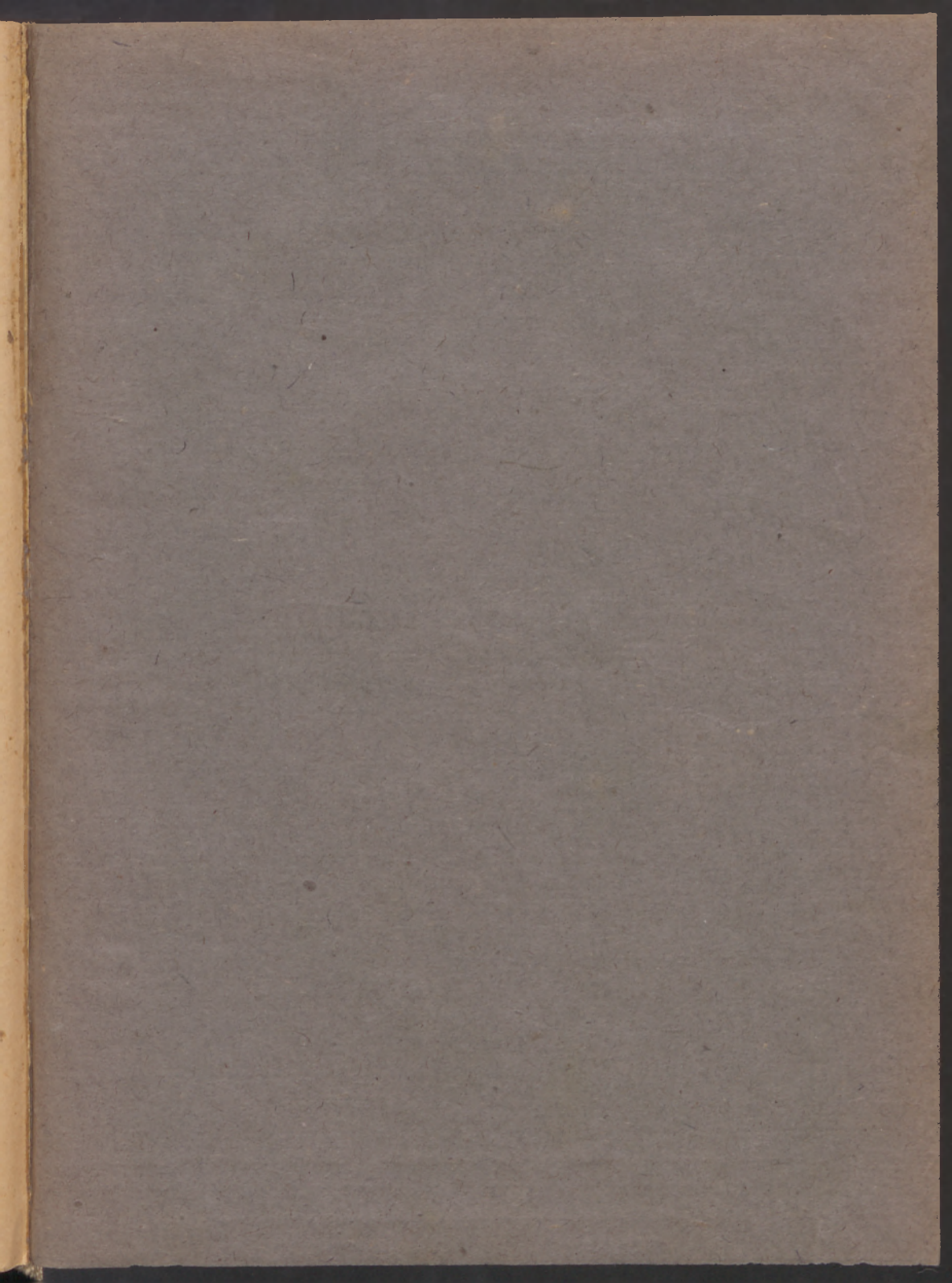


Biblioteka Główna UMK



300049845528





Biblioteka Główna UMK



300049845528

248334

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT



D N^o 727378
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

